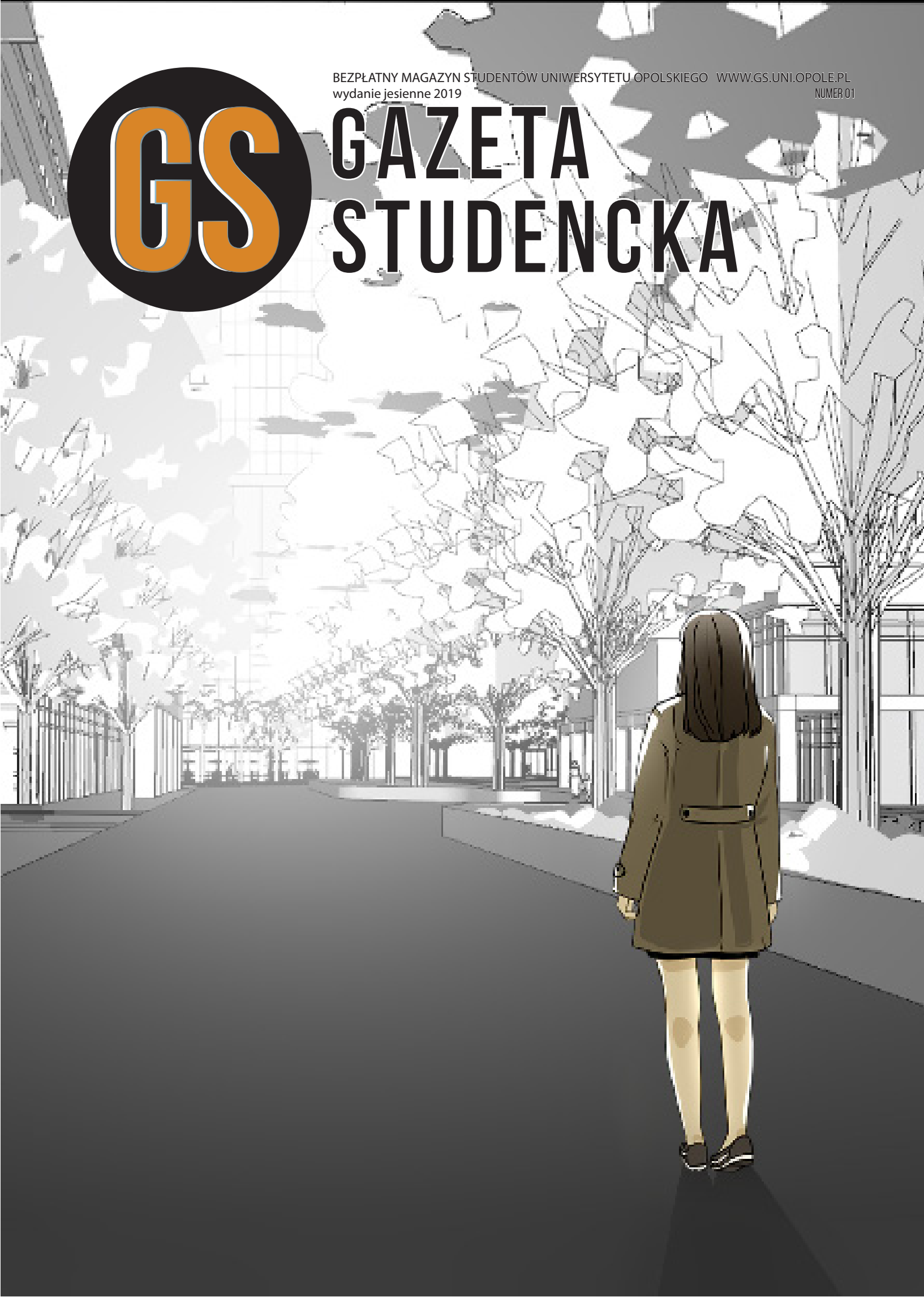


BEZPŁATNY MAGAZYN STUDENTÓW UNIwersYTETU OPOLSKIEGO WWW.GS.UNI.OPOLE.PL
wydanie jesienne 2019 NUMER 01



GAZETA STUDENCKA



WSTĘPNIAK

Nadszedł listopad, a wraz z nim krótsze i chłodniejsze dni. Mamy nadzieję, że wszystkim udało się bez problemu zostawić zmartwienia za sobą, aby móc wejść w kolejny okres nowych doświadczeń, wartościowych wspomnień, ale także i ciężkiej pracy. Wierzymy, że ci, którzy ciągle walczą, będą dawać radę bez względu na rzucane pod nogi kłody, a ci, którzy skończyli już swoją przygodę z Uniwersytetem Opolskim, będą eksplorować świat i poznawać samych siebie na nowo, odkrywać w innych odsłonach.

Od tego roku Gazeta Studencka ulega lekkim modyfikacjom. Najbardziej wyrazistą z nich jest to wydanie - dużo obszerniejsze niż przeszłe i przyszłe. Jest to spowodowane zmianami, z jakimi musieliśmy się zmierzyć na początku roku akademickiego. Owocem tego jest jeden jesienny numer, dedykowany październikowi i listopadowi. Mamy nadzieję, że będziecie nam towarzyszyć od początku do końca, oraz że w każdym numerze znajdziecie coś dla siebie.

Kogo nie rozczula cały ten klimat, który jesień przynosi wraz ze sobą? Dynie, kolorowe liście, długie wieczory z książką i kocem, zapierające dech w piersiach zachody słońca. W sklepach znajdujemy mnóstwo potęgających klimat sztucznych ozdób, choć bardzo szybko ustępują one miejsca bałwanom, mikołajom i bombkom. Tak, przemysł zdecydowanie woli klimat świąt - choć z roku na rok, mam wrażenie, zimowe ozdoby wołają do nas ze sklepowych półek coraz wcześniej, przez co cały ten nastrój staje się dużo mniej wyrazisty niż powinien być. Nadgorliwość wcale nie jest dobra. Obyście nie dali się ponieść temu klimatowi zbyt szybko, bo może się to odbić na efektywności. Pozwólmymy jesieni robić swoje i pójdźmy jej śladem - a dłuższy odpoczynek zostawmy grudniowi.

Życzymy Wam spokojnego i owocnego roku - by przyniósł wiele nowości, pozwolił nie bać się z nich korzystać, a przy okazji twardo stąpać po ziemi z podniesioną wysoko głową.



Ela Burdzik
Redaktor Naczelna



Patrycja Drabik
Wiceredaktor Naczelna

WYDANIE JESIENNE 2019 - SPIS TREŚCI

02	06	11	18-19	25
Wstępniak	(Po)głos lata	EU Careers na UO	Orient	Forthem
03	07	12	20	26
Jesienna gawęda	Ciuchy z drugiej ręki	Zdrow(szy) tryb życia	DIY	Do turkeys likes...?
04	08 - 09	13	21	27
POKAŻ SIĘ!	Cykl po angielsku	Dbanie o środowisko	Recenzja	Recenzja „Zorro„
05	10	14 - 17	Assassin's Creed	28
Czy można prościej?	Recenzja serialu	Coś więcej niż	22-24	Choroby naszych
	Euphoria	komedya	Okiem sportowca	czasów

REDAKCJA



GAZETA STUDENCKA
www.gs.uni.opole.pl

NUMER 01

JESIEŃ 2019

ROK AKADEMICKI 2019/20

REDAKTOR NACZELNA: Ela Burdzik

WICEREDAKTOR NACZELNA: Patrycja Drabik

GRAFIKA: Maja Perdun, Rafał Kalinowski, Natalia Rynio, Nela Rybak, Agnieszka Frankowska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Patrycja Drabik, Rafał Kalinowski, Michalina Mencil, Arkadiusz Dobosz, Natalia Rynio, Manuela Roj, Ela Burdzik, Aneta Gałązka, Nela Rybak, Patrycja Świerczyńska, Agata Jasińska, Wiktor Waniowski, Natalia Gabriel, Hania Wieczorek, Michał Perlik

KOREKTA: Kinga Opolony, Nela Rybak, Patrycja Drabik, Natalia Rynio, Ala Majchrzak, Paweł Cymkiewicz, Ela Burdzik i inni

AUTOR OKŁADKI: Agnieszka Frankowska

SKŁAD: Patryk Tas, Ela Burdzik

KONTAKT

www.gs.uni.opole.pl
gazetastudenckaUO@gmail.com
Instagram /gazetastudencka
Facebook /gazetastudenckaUO

WYDAWCA



Uniwersytet Opolski
pl. Kopernika 11a
45 - 040 Opole



graf. Rafał Kalinowski

JESIENNA GAWĘDA

W momencie, w którym to czytasz, jest jesień. Będziesz w stanie przeczytać ten tekst do 22 grudnia, a następnie w cyklu, 23 września – 22 grudnia, a wciąż będzie jesień. Zadajesz więc może sobie pytanie: co też takiego jest w jesieni? Odpowiedź jest bardzo prosta - to idealny moment na opowieść.

Żeby nie szukać daleko potwierdzenia tej teorii, wystarczy podkreślić pewien ciąg przyczynowo-skutkowy. Wiosną sadi się zboże i wychodzi paść zwierzaki, latem korzysta się z dobrodziejstw pierwszych plonów, a jesień jest czasem zbiorów. Z tej jakże poetyckiej metafory zostanie wykreślona zima, gdyż jest to zimna psina, co życia się nie ima.

Wracając, efektem zbiorów są zazwyczaj pełne spichlerze, które zapewniają przetrwanie, a zdolność do przetrwania zmiękcza człowieka, który popada w marazm i zaczyna mówić, byleby tylko zabić czas.

Jako postmodernista, wciąż znajduję się na drodze nowych myśli społecznych, w której pomagają mi Thot i Khonshu, wskazując drogi, którymi mogę podążać.

Obecnie są to historie, które mogę opowiadać z innymi, są to RPGi, które prowadzą mnie przez niezliczone światy wypełnione kośćmi wielościennymi i gigantycznymi podręcznikami wypełnionymi pomysłami na różnorakie historie.

Ten, nad którym się obecnie rozwodzę, zwie się „Changeling: The Dreaming” i jest grą o Odmieńcach, wróżkach, które zamieszkują ludzkie ciała. I z jednej strony, może to być gra tylko o tym, ale jeśli zajrzy się głębiej, dojrzy się, że jest to możliwość opowiedzenia historii o tym, jak twórczość z czasem umiera i jak ważnym elementem naszego życia jest dziecięca ciekawość świata. Jeżeli pozwolimy sobie odebrać możliwość spędzania czasu na czymś innym niż pogoń za karierą, staniemy się pustym odbiciem nas samych.

Tworzenie opowieści jest bardzo ważne dla naszej twórczości, jednak potrzebę spełnienia zapewni nam tylko reakcja na naszą twórczość, tyczy się to zarówno nas, jak i innych osób, dlatego wyjdźmy do kina, przeczytajmy książkę, obejrzymy

serial, który leży od paru lat na kupce wstydu, został w międzyczasie skasowany i wskrzeszony przez innego nadawcę, a najpewniej również dostał zakończenie [w tym momencie wszyscy fani „Supernatural” doznają dysonansu poznawczego].

Rozmawiajmy z innymi o naszych odczuciach na temat tego co widzieliśmy, przeczytaliśmy doznaliśmy i udoskonalajmy naszą opowieść, wzbogacajmy pomysłami innych, i nie bójmy się zmieniać tego, co już zostało wykute w kamieniu, ponieważ nakładając na siebie ograniczenia, zmuszamy się do stania w miejscu, a kto stoi w miejscu, nie poleci na księżyc.

Mamy jesień, zostanie ona z nami przez jeszcze jakiś czas, więc nie zwlekajmy z jej wykorzystaniem, w końcu każda następna będzie możliwością nowej opowieści.

TEKST: RAFAŁ KALINOWSKI

POKAŻ SIĘ!



Alina Malozemova

Jest studentką trzeciego roku studiów licencjackich na kierunku English in Public Communication (specjalność English in Media). Jest starościaną swojego roku i członkiem Rady Studenckiej Wydziału Filologicznego, w ramach której działa w Komisji Stypendialnej.

- Członkostwo w Radzie pozwala mi na udział w wielu ciekawych wydarzeniach i poznanie wartościowych ludzi. Miło wspominać m.in. warsztaty w ramach projektu "Zderzenie z Rzeczywistością".

Wśród zainteresowań Aliny ważne miejsce zajmuje sport, w szczególności taniec towarzyski.

- Obecnie nie powróciłam jeszcze do treningów, mam zamiar zająć się tańcem wraz z rozpoczęciem roku akademickiego, ale tym razem nie będzie to taniec towarzyski. Chcę spróbować swoich sił w dancehallu. Ćwiczę też na siłowni.

Jednym z marzeń Aliny jest wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

- Planuję zrobić to w okresie letnim, po studiach; spróbować, jak to jest pracować i przy okazji poznać.

Plany zawodowe studentki związane są z PR-em, a wśród marzeń związanych ze sferą zawodową wymienia pracę związaną z marketingiem cyfrowym.

- Studia to dla mnie czas rozwoju i dobrej zabawy, poznaję świetnych ludzi i poszerzam swoje horyzonty. Mam nadzieję wykorzystać zdobytą podczas nich wiedzę w praktyce w swojej przyszłej pracy.



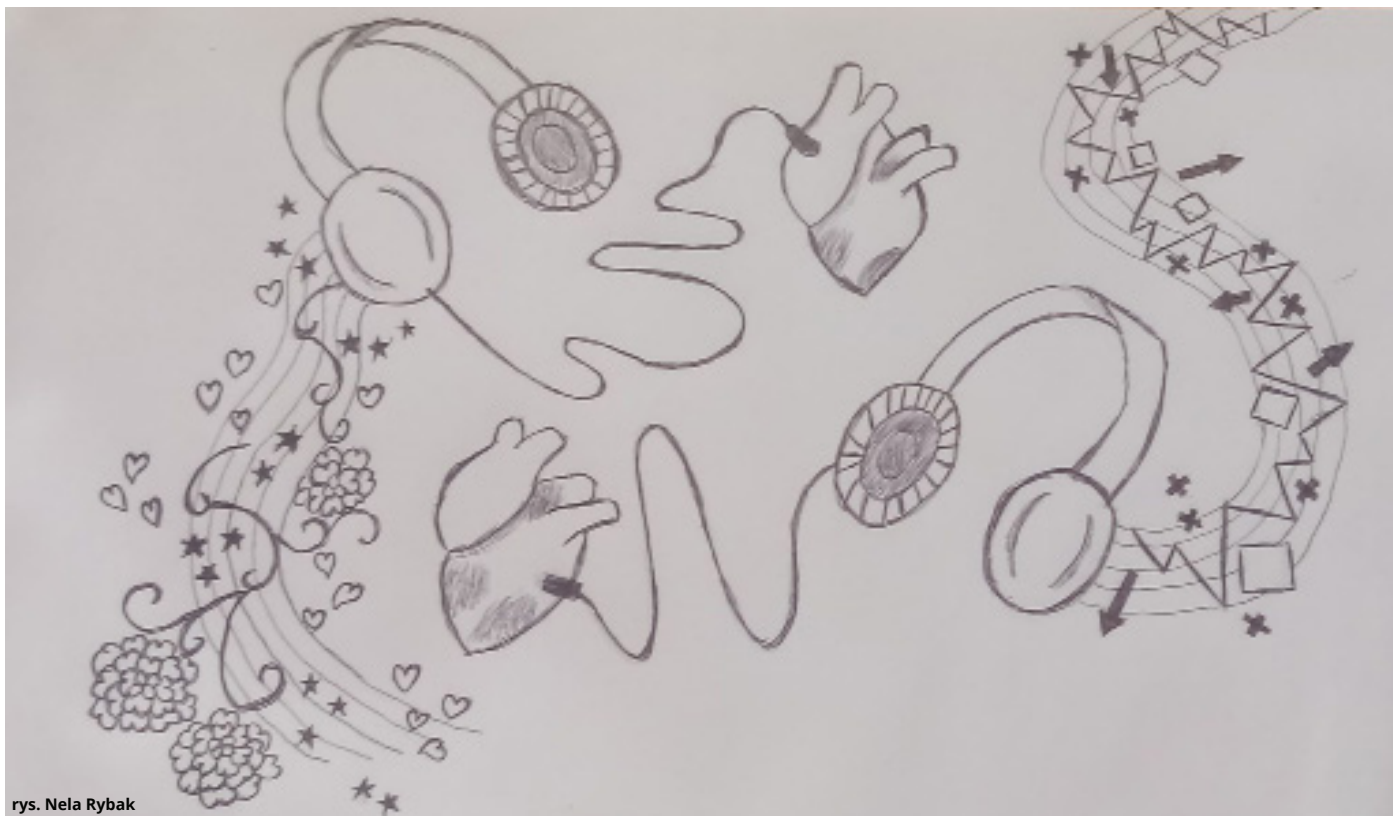
Dagmara Szelağ

Jest studentką pierwszego roku kulturoznawstwa. W wieku ośmiu lat zaczęła grać na fortepianie i uważa, że było to dla niej znakomite wprowadzenie do szeroko rozumianej sztuki, która zawsze była bliska jej sercu.

Wraz z dźwiękami klawiszy przywędrowały do niej pociągnięcia pędzlem, ponieważ słuchanie Chopina rozbudzało jej wyobraźnię do tego stopnia, że zaczęła malować to, co słyszała. Na początku były farby olejne, ale z czasem przekonała się do akwareli, które ze względu na swoją konsystencję dały jej namacalną możliwość uchwycenia rzeczy ulotnych. Malarstwo traktuje jak odstressującą pasję do dzisiaj, ale niestety ma na nią mniej czasu ze względu na balet i teatr, z którym wiąże swoją przyszłość. Studia, na których teraz jest, traktuje jako okazję do poszerzenia horyzontów, aby za trzy lata przystąpić do egzaminu w akademii teatralnej we Wrocławiu.

Jest ciekawa, co przyniesie jej życie, ale uważa, że wybór pierwszych studiów w rodzinnym mieście daje wiele możliwości - szczególnie uwzględniając to, że Opole jest stale rozwijającym się ośrodkiem kultury, bogatym w teatry, kina i galerie sztuki.

Według niej muzea i klasyki nie są nudne, czasami wystarczy tylko spojrzeć na nie z trochę innej i bardziej intymnej strony.



rys. Nela Rybak

Czy można prościej?

Mnogość programów i aplikacji. Centra, w których muzyka jest dostępna w najprostszym i najszybszym na chwilę obecną sposób, a liczba utworów, albumów, playlist czy składanek zdaje się na nich nie mieć końca. Bo przecież można kliknąć dowolny utwór, a algorytm za nas będzie wybierał kolejne, wedle naszych preferencji i muzyka będzie płynąć. Mając na półce płytę mamy do czynienia z czymś namacalnym, z fizyczną wersją wypowiedzi artystycznej danego twórcy. Do tego znany jest czas jej trwania. Słuchanie muzyki z niej, to przy choćby niewielkim zaangażowaniu, coś w rodzaju czytania książki. Choć nie jest ono oczywiście wymagane i konieczne. Czasem liczy się po prostu relaks i chęć wypełnienia sobie przestrzeni. I dobrze. Muzyki słuchać można w dowolny sposób. Przy aplikacjach typu Deezer, Spotify, gubi się jednak w moim odczuciu pewien rytuał, a samo słuchanie muzyki staje się bardziej przeżyciem konsumpcyjnym, aniżeli estetycznym. Liczy się dostępność i łatwość wyszukiwania. No i szybkość oczywiście. Swoją drogą, ciekaw jestem jaka jest łączna długość wszystkich utworów znajdujących się na wyżej wymienionych portalach.

Ile zajęłoby przesłuchanie ciągiem wszystkiego, co tam się znajduje? W jaką stronę, jak daleko i do jakiego miejsca dojdzie rozwój nośników muzyki? Z płyt winylowych, na cd, a z tych z kolei na ścieżki MP3, których

dostępność wkroczyła na niespotykaną wcześniej skalę. Nawet wywołała oburzenie wśród twórców – przykład z brzegu, walka Metalliki z Napsterem na przełomie wieków.

Po drodze były taśmy, również pocztówki dźwiękowe. Pirackie wersje utworów powielanych i przesyłanych drogą internetową pozwoliły na zapoznanie się z muzyką większej ilości ludzi, sprawiając jednak, że jakość ich była coraz gorsza. To samo działo się zresztą podczas procesu przegrywania płyt. Porównałem sobie raz pewnego płytę The Division Bell, zespołu Pink Floyd. Przesłuchałem najpierw całość na Spotify, a później włożyłem płytę do odtwarzacza i słuchałem ponownie. Mam dosyć dobrej jakości sprzęt grający i przepaść jaka dzieliła obie wersje tego samego nagrania, była ogromna. Dla niezwracających uwagi na szczegóły i szczegółiki, proponuję rzucić uchem chociaż na poziom głośności jednego, a potem drugiego. Gwarantuję zauważalną różnicę.

Ale cóż z tego. Piszę jako osoba z genem audiofilskim, chociaż za audiofila się w gruncie rzeczy nie uważam. Co zatem z przeciętnym słuchaczem? Aktualnie jakość nie ma już takiego znaczenia. Czy zatem portale z muzyką, są dziś po prostu kolejnym „przystankiem” w drodze rozwoju nośników muzyki? Jeśli tak, dokąd „indziej” możemy w tym dojść? Co innego, jeśli nie aplikacja w telenie, z którym większość ludzi

już się w zasadzie nie rozstaje?

Można łatwiej i szybciej? Jeśli tak, to jestem tego bardzo ciekaw, bo moja wyobraźnia chyba nie sięga tak daleko. Czy z kolei najzwyczajniej w świecie jedno będzie istnieć równoległe z drugim. Wciąż będzie się słuchało muzyki z płyt CD, płyt winylowych, nawet czasami taśm, ale jednak przodować w tym wszystkim będzie aplikacja, a jakość i inne aspekty powoli przestaną się liczyć?

A może zaczną się to cofać? Już teraz da się zauważyć ponowne zainteresowanie płytami winylowymi, które nawet w dyskontach pojawiają się w sprzedaży. Mało tego, sprzedaż czarnych płyt po raz pierwszy od dawna, może przewyższyła sprzedaż płyt CD. Czy takie wyniki mogą prognozować jakąkolwiek poważniejszą zmianę? Czy może to tylko zasługa koneserów i pasjonatów, którzy kupują więcej i jest to po prostu nieznaczącym zbyt wiele ciekawym zjawiskiem? Może dzięki tym pasjonatom i pewnym chwytom marketingowym, po winyle zaczęto sięgać więcej osób, które wcześniej nie miały z nimi do czynienia? I dzięki temu doceniają słuchanie płyt w całości? Jakąkolwiek przyczyną tym rządzi – niech trwa. Choć ewentualnych scenariuszy można zapewne jeszcze kilka wymyślić.

TEKST: WIKTOR WANIOWSKI



rys. Maja Perdun

(Po)głos lata

Nie można przed tym dłużej uciekać. Lato się kończy, a wraz z nim wakacje. Dla wielu z nas jest to czas na ostatni oddech przed ponownym wejściem w rytm codzienności. Jest to też moment, w którym zastanawiamy się czy właściwie wykorzystaliśmy te trzy miesiące przysłowiowej wolności. Czy wykonaliśmy zaplanowane aktywności? Czy rzeczywistość była choć w połowie tak ekscytująca, jak wtedy, gdy myśleliśmy o niej z błyskiem w oku? Ja chcę jednak zadać dodatkowe pytanie, a mianowicie jak zmieniły Was te trzy miesiące? Wiem, co myślicie. To przecież nie jest aż tak wiele czasu. Sam jeszcze do niedawna tak właśnie myślałem. Ostatnio jednak spojrzałem na to trochę inaczej. Wiele w naszym życiu uznajemy za coś stałego. Nie zastanawiamy się nad tym, jak szybko nasze życie może ulec zmianie. Czasem jest to nagle, czasem niespodziewane, ale prawie za każdym razem potrzebne. W czasach, kiedy wstając o godzinie szóstej rano można mieć poczucie, że straciło się dzień, a obowiązki zdają się nie mieć końca, łatwo

jest zgubić poczucie własnej tożsamości. Jest to stan, z którego na pierwszy rzut oka nie ma wyjścia. Wakacje dają nam czas na ponowne odkrycie własnych zainteresowań i na nowo usłyszeć swój głos, wcześniej tłumiony przez kofonię rutyny.

Ponadto, dla wielu wakacje oznaczają podróże, które otwierają cały wachlarz nowych możliwości oraz okazji. Niektóre osoby mogą w trakcie wyjazdów odkryć miejsce, w którym naprawdę czują, że żyją, co sprawia, że powrót do codzienności jest jeszcze trudniejszy.

Tak, lato się kończy, ale nie oznacza to, że wraz z nim powinna skończyć się Wasza energia. Spójrzcie jeszcze raz na te trzy miesiące i docieńcie, jak wiele zrobiliście. Zamiast myśleć o tym, że straciliście wolność, pomyślcie o tym, że zyskaliście doświadczenie. Doświadczenie oraz zapał, który możecie teraz przenieść na swoje codzienne życie.

Nie musicie czekać na Nowy Rok, żeby wprowadzić zmiany. Każdy dzień może być nowym początkiem. Piszę to, zdając sobie w pełni sprawę, że balansuję motywacyjnych, ale chcę, żebyście w to uwierzyli.

Lato daje nam słoneczny zastrzyk energii i motywację do działania. Niemniej powinniśmy próbować dążyć do swoich celów nawet wtedy, a może szczególnie wtedy, kiedy wydają się one być bardzo daleko, a inspiracja jest zaledwie słowem. Czy jest to łatwe? Dla mnie na pewno nie, ale czytacie teraz ten artykuł, prawda?



rys. Nela Rybak



rys. Agata Jasińska

Odrodzenie starych ubrań

Lumpeksy, second handy, giełdy internetowe, szafy babć i koleżanek. Kto by pomyślał, że w czasach galerii handlowych, nieograniczonego dostępu do sklepów i wymieniania szafy co sezon, rynek używanych ubrań będzie prosperował tak dobrze? Jeszcze kilka lat temu noszenie ubrań „po kimś” było wyśmiewane i nikt się tym nie chwalił, a dziś gwiazdy takie jak Janelle Monáe lub Drew Barrymore szyczą się perełkami, które kupiły z drugiej ręki.

Najczęstszym powodem, dla którego ludzie decydują się na poświęcenie czasu na szukanie używanych ubrań jest możliwość znalezienia prawdziwych (synonim do perełek). Nie chodzi nawet o ubrania spod igieł projektantów, choć te też się zdarzają, ale o ubrania niepowtarzalne. Oryginalne koszulki z lat 80-tych, kombinezony prosto z lat 60-tych czy rameski z przełomu wieków wcale nie są rzadkim widokiem w second handach. Dodając do tego ciuchy, które są po prostu ciekawie zaprojektowane, rynek używanych ubrań zmienia się w kopalnię złota.

Po drugie – coraz częściej mówi się o problemie fast fashion, czyli szybkim projektowaniu i szyciu nowych kolekcji kosztem materiałów i siły roboczej. Coraz więcej konsumentów staje się świadomych tego, jak negatywne są takie działania dla środowiska oraz osób, które te ubrania produkują. Przemysł odzieżowy generuje ogromne ilości dwutlenku węgla do atmosfery, bo aż 10% światowej emisji, a dodatkowo jest na drugim miejscu wśród zanieczyszcicieli wody. Ponad to, ponad milion ton odzieży trafia co roku do śmieci. Biorąc to wszystko pod uwagę, czy naprawdę warto kupować kolejny t-shirt tylko po to, żeby leżał w szafie, a potem wyrzucić go, bo minęła moda na dany design?

Kolejnym niewątpliwie ważnym aspektem kupowania ubrań z drugiej ręki jest to, że są po prostu tanie, a przynajmniej tańsze, niż gdyby kupić je w oryginalnym sklepie. Oczywiście dużo zależy od tego, gdzie planujemy takie zakupy zrobić - internetowi sprzedawcy zazwyczaj liczą sobie dużo więcej niż lumpeksy, ale nawet na największej grupie sprzedażowej z odzieżą ekskluzywną regułą jest obniżenie ceny o minimum 40% od ceny rynkowej.

Polecam więc zacząć swoją lumpeksową podróż od Layli - sklepu mieszczącego się naprzeciwko Manekina, w samym centrum Opola. Duża przestrzeń z ogromną ilością ubrań i ekspedientki, które chętnie doradzą w przypadku wątpliwości. Jeżeli ktoś jednak ma ochotę na dłuższe podróże, to zachęcam wybranie się do second handu na ulicy Fabrycznej. Dla ludzi leniwych dobrą opcją będzie strona vinted.pl.

Osobiście staram się kupować jak najmniej ubrań w „siecówkach”, a częściej wpadać do lumpeksów i odwiedzać strony z używanymi ubraniami. Pomijając rozwinięte wyżej argumenty, jest jeszcze jeden – z drugiej ręki można kupić ubrania o niebo lepszej jakości, a dużo niższej cenie. Sama w szafie mam markowy, kaszmirowy sweter (za 1 zł) i wełniany płaszcz (za powalające 9 zł), których jakość jest dużo lepsza niż produktów w jakimkolwiek sklepie dostępnym na studencką kieszeń.



graf. Agnieszka Frankowska

TEKST: HANIA WIECZOREK



fol. Maurycy Klepko

POLISH PERSPECTIVE – - ERASMUS+ PROGRAMME STORIES

Today, we would like to focus on the experience gained by Polish students during the Erasmus+ program. The countries presented this time are Spain and Italy. You will find out, for instance, if the money provided during the program are enough to survive during taking part in this programme and what are the 'must see' sights there. Enjoy!

Maurycy Klepko, a student from Foreign Language Department

-Which country have you chosen and what has motivated you to go there?

I consider the opportunity to study abroad for at least one semester to be the most valuable aspect of studies, mainly due to the fact that it cannot be replaced with anything else. If it wasn't my friend Ewa, who basically initiated everything, I would have never decided to go anywhere. In fact, I haven't thanked her yet ... and I have to! One day she said: 'Maybe we should join the Erasmus program?' To which I replied: 'Why not. Okay!' This is why

my five months spent in Italy is a period of time that I would not exchange for anything else. I have spent my Erasmus exchange in Pescara, Italy; a city located in central Italy near the Adriatic. Università degli Studi di Chieti e Pescara is a large university which faculties are located in two neighbouring cities: Chieti and Pescara. My faculty was in Pescara, for which I am still grateful (I do not know whom to, but I am), because it was that place where the whole "student life" was going on, except for matters related to science of course. When choosing a university, one should take into consideration the level of education and prestige of the university itself; however in my opinion the truth is that everyone wants to go to a country that seems interesting to them. For me, the choice among the possible options was obvious. What to think about when you can choose the south of Europe with its famous Italy and delicious pizza, olives, twenty degrees in winter and wonderful landscapes? The scholarship offered by the Erasmus

program was a great advantage; in fact, I am convinced that without this scholarship, my Erasmus would not have had any chance to start. Of course, that money are insufficient if we want to use our time spent abroad to the maximum, but I am also sure that whether the scholarship is enough for the duration of the exchange is an individual matter. It all depends on how we want to spend this time. I took advantage of every opportunity, so my scholarship was not enough, but now I have experience and memories that could never be bought for any amount of money.

-What is your opinion on the University, the lecturers you've met, the way they teach and organize the classes?

The first moments at the university were similar to those at a Polish university. Having trouble finding the right room, the right lecturer, the right class schedule even! The first few days were quite chaotic, but it was enough to rethink everything calmly and things solved themselves. The classes that I have

chosen for the most part were adequate to their description on the website, so that I didn't change my Learning Agreement. The Italian community is known for its hospitality, never-ending smile and patience with everything. It was the same at the university. Sometimes I was under the impression that the concept of time in Italy does not exist. We had no major problems with determining the form of lectures with the lecturers, etc. Of course, I encountered one who decided to prove me how much I can't do, but, fortunately, I managed to get a positive grade finally. For sure, the Italian university was far less rigid when compared to the Polish system.

- Which cities apart from Pescara have you visited?

During my exchange program I didn't even have to think long about travelling. I visited almost all parts of Italy except for the south: I have been to Venice, Verona, Padua, Milan, Turin, Florence, Pisa, Assisi, Rome, Naples, Pompeii; I have also visited San Marino and the

Vatican. There is an airport in Pescara, from which I flew to Malta. It is worth following the promotions on the carriers' websites - for my return trip to Malta I paid only about 120 PLN. With my friends we were able to pay only 40 PLN for a flight from Belgium! ESN Chieti Pescara (Erasmus Student Network) organizes various trips in which students really should take part. It's always better to visit new places with friends than alone, right? One day I will visit again Malta, Amsterdam, Florence or Rome, but everyone can have their own taste when choosing a place to visit as a tourist.

-What have you gained from your Erasmus experience? Would you recommend it to others?

I would have never expected it to be a time of my life that I will miss so much and which I will think about so warmly. Those five months gave me such memories and smile on my face that I have never experienced during my previous student's life. I have met a multitude of new people who became a second family to me. Now I have friends all across Europe and even beyond! I have started valuable friendships, completely different experiences and memories. The exchange provided me with the opportunity to learn much about life. Erasmus has let me open my eyes; I was able to get to know the world as it really is, not only as it is like in Poland. I have learned what it means to live to the fullest and how to enjoy every moment. Fear has big eyes and the world is a mystery until we dare to explore it. Erasmus is a clash with the real world and different cultures. Love, tolerance and acceptance are the basic qualities that make the world as beautiful as we imagine. Thanks to Erasmus we learn all this; we learn the world, we have a chance to truly understand ourselves. If someone offered me to turn back time, I would agree - not to erase this experience, but to repeat it!

Michalina Nowak, a student of English philology, Opole University

I study English Philology (English with Spanish, III year). I went to Spain exactly one year ago, in the winter semester in 2018. My university was Universidad de Alicante. Why this university? It's easy, it is by the sea. Moreover, I wanted to practice my Spanish. One of my friends had chosen this place as her Erasmus destination before and recommended it to me.

Erasmus is a great chance to get to know the country from the perspective of its inhabitant, it enabled me to gain great experiences and travel.

We received 400€ for a month per person, all the money was given to us at the beginning. 10% of the money was given to us after coming back to Poland. My parents paid for my stay at the dorm (165€ per month). I stayed there with my friend from Poland, we went to Spain together, in the same group. My parents also gave me 200€ for trips and paid for my flights to Poland (for Christmas and after exams in February).

It was possible for me to spend some money on shopping, trips and, for instance, beer. But in comparison to, let's say students from the Netherlands, Polish students seemed poor. They received about 1200€ per month. I guess I wouldn't manage to live in Spain only with the money from Erasmus, without the help of my parents.

If it comes to classes, it was like here, in Opole. Some of them were ... and some really interesting. The grading system in Spain is different (from 1 to 10), it was a thing I had to get used to. Another difficulty was the fact that make-up exams were planned for July, so I had to pass all of my tests at the first attempt. Otherwise, I would need to go to Spain again in vacation time.

The university in Alicante is huge, coping with problems required a lot of time spend in queues. The

contact with my Erasmus coordinator in Poland and the dean's office of our university was much better.

I recommend ESN (Erasmus Student Network). Thanks to this organization I went on several trips, for instance, to Tabarca (Illa de Tabarca), a beer factory and to Murcia. Other places that I have visited are Barcelona, Madrid and Benidorm.

The best place out of this list was, in my opinion, Madrid. However, each destination was beautiful and worth seeing. I fell in love with a tapas bar in Barcelona, it was the first place I went to when I visited Barcelona for the second time.

My favorite place in Alicante is St. Barbara's Castle. I went there a few times with my friends to enjoy the sunset.

I had a Buddy Mentor at the uni, but she had time to meet only after a month of my stay in Spain, so I didn't really make use of her help. Moreover, she lives a few kilometers far from Alicante, so we met each other only once. She gave me a few pieces of information about the university.

I met a great student from Poland, she has been living in Alicante for 4 years. Her boyfriend is Spanish, thanks to them I learned about Spanish culture and nation. They took me to restaurants not known by tourists.

The students were nice and helpful, borrowed

me books, helped me with finding the buildings where we had classes or the classrooms.

Local people don't know English, they also didn't understand my Spanish (I guess it's due to my accent). They enjoyed talking to me in Spanish, even when I told them that I don't understand what they are saying.

We went to the beach by the sea in September and October after classes. I recommend walking on the beach when it's too cold to swim in the sea. There is a Polish shop, El Polaco, in Alicante. The bus connection is quite nice. There is a bus and a tram on the way from the city centre to the beach. The price of one ticket is 1,45€. I recommend to use the tram due to beautiful views of the seashore. Public transport in Spain is expensive, there are no discounts for students. Another thing that surprised me was the number of orange trees on the campus. It is possible to drink alcohol at the grounds of the university. It's possible to buy a sport card for the gym or swimming pool (the cost is 60€), it enables for free entrances without the limit for five months. The campus in Alicante is huge and beautiful. We spent there a lot of time on picnics because there are lots of flowers in this place. There is even a lake full of turtles!

LISTENED: MICHALINA MENCEL



fot. Klaudia Lichota

TALKED: PATRYCJA SWIERCZYŃSKA



źródło: HBO

Recenzja serialu Euphoria

Seriale młodzieżowe przestały zaskakiwać. Kiedyś istniały tytuły typu "Skins", które wraz ze sporą ilością sezonów niosły ze sobą przesłanie. Teraz monopol na młodzieżowe dramaty posiada Netflix... i pokuszę się o stwierdzenie (poparte recenzjami krytyków), że robi to ogromną krzywdę tej kategorii. Są to bowiem seriale, na których wiele osób wkraczających w dorosłość, buduje swój światopogląd. A tak między nami - "13 powodów", "Dynastia", czy "Riverdale" nie wydają stworzone do tego.

I tu nagle pojawia się Euphoria. Serial od HBO GO, liczący sobie osiem odcinków, z już zapowiedzianą kontynuacją. Jest to adaptacja izraelskiej serii o tym samym tytule. Euphoria niby jest tytułem kategorii young adult, jednak zamiast powtarzających się motywów, kiepskiej gry aktorskiej i nie wyróżniającego się sposobu kręcenia - dostajemy tytuł niesamowicie kompletny. Ale o czym właściwie jest ta produkcja? Rue jest siedemnastolatką, która po śmierci swojego ojca wpada w nałóg narkotykowy.

Na tym skończyłaby się historia, gdyby nie jej młodsza siostra, która znalazła ją nieprzytomną, po przedawkowaniu. Po odwyku główna bohaterka nie chce zaczynać wszystkiego od nowa, nie zostaje czysta. Wraz z pierwszym dniem po wyjściu ze szpitala, znowu zaczyna brać. Niedługo po tym poznaje Jules - jej całkowite przeciwieństwo, które z jednej strony wprowadza ogrom barw i brokatu do jej życia, ale z drugiej jest potwornie toksyczna. Dziewczyna dla Rue jest dokładnie jak uzależnienie. Intryguje i powoli zatruwa jej życie.

Opis jest bardzo splotowy. Ciężko jednak oddać słowami wszelkie emocje jakie towarzyszą przy seansie. Nie liczy się tu tak do końca sam przebieg wydarzeń, a sposób ich przedstawienia. Nieoczywisty, z dużą ilością niedomówień. Nawet jeśli akcja skupia się na głównej bohaterce, poza nią jest mnóstwo innych, równie ważnych postaci, które nie są tylko tłem dla Rue, a dopełnieniem fabuły.

Każdy odcinek bowiem rozpoczyna retrospekcja skupiająca się na poszczególnych osobach, innych uczniach liceum z otoczenia głównej bohaterki. Gdyby nie fakt, iż jest to serial, jestem przekonana, że Euphoria dostałaby Oscara. Zwłaszcza Zendaya, która jako Rue zagrała mistrzowsko, pokazując swój wielki potencjał aktorski.

Historia o depresji, walce z uzależnieniami, poznawaniem własnej seksualności, świadomości swojego ciała. Wszystko w niezwyklej oprawie wizualnej i muzycznej. Momentami Euphoria wygląda jak wysoko budżetowy teledysk, ze swoimi uduchowionymi i makijażami jakie prezentują bohaterki tego serialu.

Czy jest to najlepszy serial na początek roku akademickiego? Nie jestem pewna. Zwłaszcza, że opowiada o licealistach. Z pewnością jednak Euphoria zaskakuje, czasami wgniata w fotel i zdecydowanie jest czymś wartym obejrzenia, nie tylko przez osoby młodsze. W dodatku to jedynie osiem odcinków, które z pewnością mogą ubarwić ponurą i szarą jesień.



fol. Daniil Kononenko

EU Careers na UO

Korzyści płynące z udziału w programie to bieżąca współpraca z urzędnikami instytucji UE, kontakt ze studentami z całej Europy oraz udział w szkoleniach i konferencjach. Dodatkowo student ma szansę na zdobycie doświadczenia zawodowego, które pozwoli wyróżnić się na tle innych kandydatów w przyszłości. Zdobywa też referencje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Akademickiego Centrum Karier Uniwersytetu Opolskiego. Nasz uniwersytet, jako jedna z nielicznych uczelni wyższych, bierze udział w takim programie.

Basiu, od tego roku akademickiego zostajesz Ambasadorką EU Careers. Czy mogłabyś wyjaśnić, na czym polega ta rola?

Basia: Polega ona przede wszystkim na reprezentowaniu Uniwersytetu Opolskiego. Jest to program realizowany w Opolu, jedynie na tej uczelni, dlatego też myślę o kontakcie z innymi placówkami w mieście. Ma on na celu zachęcić studentów do poszukiwania pracy w urzędach Unii Europejskiej. Program wspierany jest przede wszystkim przez Akademickie Centrum Karier Uniwersytetu Opolskiego, Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP oraz oczywiście Unię Europejską.

Co może zyskać student dzięki roli Ambasadora?

Basia: Przede wszystkim może uzyskać informacje o urzędach Unii Europejskiej, do których może aplikować. Ważna jest też świadomość, że w ogóle może na takie stanowisko aplikować.

Student uczy się również pracy na takim stanowisku, nabiera wprawy i doświadczenia. Rola ta pozwala mu zdobyć wiele cennych informacji na temat samej Unii i jej struktury.

Jak to się stało, że zostałam Ambasadorką EU Careers?

Basia: Dowiedziałam się o tym w Akademickim Centrum Karier, od Karoliny Trościanki. To ona powiedziała mi, że taki program działa na naszej uczelni, że mogę kandydować na stanowisko Ambasadora. Postanowiłam aplikować do programu i zostałam wyłoniona w kadencji na rok akademicki 2019/2020.

Dlaczego zdecydowałaś się kandydować? Jakie są twoje plany?

Basia: Każdy Ambasador sam decyduje o tym, co chce zrobić i o tym, jak będzie wyglądała jego działalność. Przede wszystkim jest to reprezentowanie Unii i Uniwersytetu Opolskiego - nie tylko na samej uczelni, ale i poza nią. Ja zamierzam wyjść do ludzi. Chcę organizować spotkania tematyczne, na których uczestnicy będą mogli dowiedzieć się, w jaki sposób mogą kandydować do struktur UE. Chciałabym organizować i przeprowadzać szkolenia, informować studentów, jak można dostać się do urzędów unijnych, a także dostarczać informacji na temat jej struktur oraz programu ambasadorskiego.

Gdzie student może się dowiedzieć, że jakieś wydarzenia czy szkolenia będą się odbywały?

Basia: Najwięcej informacji znajduje się na naszej stronie na Facebooku oraz na stronie ACK.

W jaki sposób ACK związane

jest z European Union Careers?

Karolina Trościanka: ACK koordynuje zadania, które realizuje Ambasador Karier. W zależności od wizji i planów nowego ambasadora (a ci zmieniają się każdego roku) zawsze staramy się wspierać, motywować i uzupełniać ich program. Działania Ambasadora Karier zawsze poprzedzają konsultacje związane z kadencją, dzięki którym możemy przygotować się na poszczególne zadania. W tym roku - z inicjatywy Basi - powstanie m.in. zakładka na stronie internetowej ACK, którą będzie redagowała nasza Ambasadorka. Oprócz tego, informacje można znaleźć na Facebooku, wkrótce również na Instagramie tak, aby umożliwić studentom wygodną dla nich formę kontaktu.

Kadencja Basi rozpoczyna się z początkiem października. Zobaczmy, czym nas zaskoczy i będziemy jej mocno kibicować. Mam nadzieję, że studenci chętnie będą korzystali z oferty, nad którą pracuje Basia i licznie wezmą udział w wydarzeniach, o których będziemy informować. Dla naszych studentów Basia jest bezpośrednim kontaktem z pracownikami instytucji unijnych i - mam nadzieję - pokaże nam, że praca z wysokimi rangą urzędnikami instytucji UE, oraz samo zatrudnienie na tych stanowiskach jest w zasięgu każdego z nas. Znajdź nas na:

FB:

www.facebook.com/EUCareersUO/

ACK:

<http://www.kariera.uni.opole.pl/>

**ROZMAWIAŁY: ELA BURDZIK
I PATRYCJA DRABIK**



ZDROW(SZ)Y TRYB ŻYCIA

Od dzisiaj jem zdrowo! Koniec z fast foodami! Znasz te postanowienia? Jak długo trwał twój zapal do ćwiczeń? Wbrew pozorom wcale nie jest trudno przestawić się na zdrow(szy) tryb życia. Grunt to zachować balans i nie zmieniać wszystkiego na raz!

Od czego zatem zacząć? Czego się trzymać? Przede wszystkim mieć umiar i nie popadać w skrajność. Nie zmuszajmy się do jedzenia zdrowych produktów, za którymi w ogóle nie przepadamy. Nie poddawajmy się po kilku dniach fatalnej diety. Nie zawsze jest idealnie! Pamiętajmy jednak, że zdrowie jest tylko jedno i od nas zależy nasze samopoczucie i siła – zarówno fizyczna, jak i psychiczna. Moje TOP 7 w kierunku zdrowszego trybu życia znajdziecie poniżej!

1. NASTAWIENIE

Najważniejsze to zmienić swoje nastawienie, a więc zadbać o swoją psychikę! Negatywne myśli, brak wiary we własne możliwości potęgują naszą słabość... Uśmiechnij się! Doceń to, co masz, dziękuj za kolejny dzień i walcz o swoje! Nie porównuj się do innych, gdyż każdy z nas jest wyjątkowy! Zapanuj nad własnym stresem i nie denerwuj się z błahych powodów. Staraj się tłumić negatywne emocje! – i życie staje się piękniejsze.

2. MOTYWACJA

Zastanów się, co chcesz osiągnąć i w jaki sposób będziesz do tego dążyć. Zdrowy tryb życia jest nie lada wyzwaniem dla wielu z nas. Warto zatem motywować się do działania. Na początku może być trudno, bo na drodze napotykamy wiele ograniczeń. Wyznacz sobie nagrodę! Trudno jest zmienić dotychczasowe przyzwyczajenia. Daj sobie troszkę czasu! Możesz jednak wyrobić nowe nawyki! Nie nagradzaj się pudełkiem czekolady lub kolejnym hamburgerem. Śmieciowe jedzenie kosztuje więcej niż to zdrowe i pełnowartościowe! Finalnie może się okazać, że jednak stać cię na weekend w górach albo wymarzony kurs pisarski.

3. AKTYWNOŚĆ FIZYCZNA

Najgorsze, co można zrobić, to w ogóle się nie ruszać! Spaceruj na uczelnii i z powrotem to zdecydowanie za mało... Na pewno istnieje sport, który Cię zadowoli! Może na początku trudno porzucić leżakowanie na rzecz siłowni czy biegania,

\ale... aktywność fizyczna uzależnia! Po pewnym czasie sport staje się codziennością! Endorfiny niszczą negatywne emocje i pobudzają do działania!

4. UNIKAJ SŁODYCZY

Gdzieś obito mi się o uszy, że cukier uzależnia bardziej niż narkotyki... Doskonale wiem, jak trudno z niego zrezygnować! Najgorsze jest to, że znajdujemy go wszędzie! Postaraj się świadomie dokonywać wyborów. Czytaj etykiety, wybieraj zdrowsze zamienniki batoników, przygotuj kulinarne słodkości samodzielnie... Oczywiście, kilka kostek czekolady lub mały batonik nie zaszkodzi od czasu do czasu... Drobna przyjemność czasem wskazana! Pomyśl jednak... może to nadmiar cukru sprawia, że nie masz na nic ochoty, miewasz migreny czy brakuje ci motywacji?

5. OGRANICZ FAST FOODY

Nie tak łatwo z nich zrezygnować, kiedy kocha się je całym sercem. Ograniczenia są jednak bardzo wskazane! Raz w tygodniu to i tak za dużo! Może warto czasem przygotować posiłek samemu w zdrowszej wersji? Możesz się zdziwić – często smakuje o niebo lepiej! I pamiętaj! Nie wprowadzaj do swojej diety składników, których nie lubisz. Jest duże prawdopodobieństwo, że szybko się poddasz, a ze zdrowszego trybu życia nici...

6. ZREZYGNUJ Z ALKOHOLU

Wiem, wiem... nie jest to takie proste, zwłaszcza gdy studenckie życie kręci się wokół imprez, domówek i nocnych wypadów na miasto. Postaraj się przynajmniej ograniczać! Pomyśl też, jak czujesz się po spożyciu alkoholu... Czy przysłowiowy kac jest tego warty? Dobrze bawić możesz się bez procentów! Uwaga: da się!

7. JEDZ WARZYWA I OWOCE!

Nie chcę pisać o piramidzie żywienia, bo każdy doskonale ją zna... ale, warzywa i owoce to najzdrowsze i łatwo dostępne produkty. Można skomponować z nich wiele pełnowartościowych posiłków. Śniadanie, obiad, przekąska – sprawdzaj się zawsze! I nie kosztuj fortuny!

Wprowadzajmy zmiany od razu, nie czekajmy do jutra, poniedziałku czy nowego roku.

TEKST: MANUELA ROJ



Małymi krokami do celu

W ostatnich latach bardzo popularny stał się minimalizm, czyli walka z nadmierną konsumpcją i ograniczanie posiadania. Jedną z jego form jest slow life - życie bliżej natury, wsłuchiwanie się w swoje realne potrzeby, a także dążenie do życia według zasady zero waste, czyli życia bez śmieci.

Nie wydaje mi się, byśmy mogli osiągnąć poziom „zero” w swoim śmieceniu. Wszak każda rzecz, którą posiadamy, nabywamy lub kupimy w przyszłości, prędzej czy później dokona żywota – nawet jeśli to będzie jej drugie, trzecie czy czwarte życie. Możemy jednak sprawić, że tych śmieci wokół nas będzie mniej. Nie jest to łatwe, ale przecież liczy się każdy, nawet najmniejszy, krok. Poniżej zebrałam kilka prostych porad na „zero waste na co dzień”. Jeśli więc chcesz ograniczyć ilość śmieci w swoim życiu, ale nie wiesz, od czego zacząć – koniecznie przeczytaj ten tekst!

1. Nie bierz reklamówek - foliowe reklamówki są naszą piętą Achillesową. W Europie zużywa się ich średnio 198 sztuk rocznie na osobę (Dania zesłała nawet do czterech sztuk), w Polsce – 466 sztuk. Jaka jest na to rada? Zaczynij używać materiałowej torby na zakupy. Niech stanie się nieodłączną zawartością Twojej torebki, jak chusteczki higieniczne, czy telefon. Wyjmuj ją z dumą na zakupach i odmawiaj brania foliówek.

2. Powiedz „nie” wodzie butelkowanej - wedle raportu z 2018 roku, w samej tylko Unii Europejskiej co roku wyrzucanych jest około 46 miliardów butelek plastikowych. To całkiem sporo. Zamiast więc przynosić do domu kolejną zgrzewkę plastiku, kup lepiej jeden porządny dzbanek filtrujący i pij wodę z kranu. Warto również zaopatrzyć się w butelkę z grubego, odpornego plastiku, którą można używać wielokrotnie i długo, i zabierać ze sobą wszędzie, gdzie tylko mamy ochotę.

3. Mniej lataj, więcej spaceruj - nie jedź wszędzie samochodem. Jeśli masz możliwość, przesiądź się na rower, autobus albo przejdź się. Możesz np. ustalić ze sobą, że wszystkie dystanse poniżej 1 km pokonywać będziesz na piechotę. To nie tylko ekologiczne, ale też bardzo zdrowe! Jeśli masz taką możliwość, ogranicz także latanie samolotem,

które jest bardzo szkodliwe dla środowiska (emisja CO₂, generowanie śmieci na pokładzie).

4. Nie kupuj „na zaś” - nie tylko z zużyciem foliówek jest u nas na bakier, ale również z marnowaniem żywności. Wyrzucamy do kosza tony jedzenia rocznie – najczęściej dlatego, że kupujemy za dużo i niewłaściwie przechowujemy je w domu. Aby uniknąć powielania tych błędów, rób listy zakupów, dzięki temu mniej przypadkowych produktów trafi do Twojego koszyka i domu. Oszczędzisz w ten sposób zarówno czas, jak i pieniądze. Przed wyjściem na zakupy sprawdź także, co już masz. Przejrzyj dokładnie lodówkę, szafki i zamrażarkę. Być może coś, co zapisałeś/-aś na liście zakupów już masz, ale o tym zapomniałeś/-aś?

5. Kupuj lokalnie i sezonowo - w ten sposób Twoje dania będą smaczniejsze, zdrowsze i tańsze. Nie wierzysz? To pomyśl o truskawkach – ich smaku oraz cenie zimą i w sezonie. Zwracaj również uwagę na kraj pochodzenia produktów. Najlepiej kupuj te z Polski. Wspierasz w ten sposób polskich przedsiębiorców i przyczyniasz się do ograniczenia emisji CO₂.

6. Ogranicz jedzenie mięsa i nabiału - produkcja mięsa zużywa bardzo dużo zasobów (m.in. wody i zbóż) i przyczynia się do emisji gazów cieplarnianych do atmosfery. Nie musisz od razu przechodzić na wegetarianizm albo weganizm, ale możesz ograniczyć spożycie mięsa i produktów odzwierzęcych o tyle, ile uważasz za stosowne. Już choćby rezygnacja z jednego mięsnego obiadu tygodniowo będzie miała pozytywny wpływ. Wegańskie potrawy są zdrowe, dobre dla środowiska, ale i pyszne! Przekonaj się sam/-a i spróbuj ugotować coś wegańskiego. Może spodoba Ci się i wprowadzisz z czasem dania wegańskie do Twojego jadłospisu?

Oczywiście są to podstawowe działania i nie sprawią, że nagle w domu nie będzie już potrzebny kosz na śmieci, a siebie będzie można ochrzcić mianem „guru zero waste”, ale warto je wprowadzić w życie jako dobre nawyki, które sprawią, że będziemy chcieli dowiadywać się więcej o byciu zero waste i podejmować kolejne kroki w byciu bardziej przyjaznym planecie, na której żyjemy. **Ziemia nam kiedyś podziękuje!**

TEKST: NATALIA RYNIO



fot. Materiały dystrybutora

Coś więcej niż komedia

Bawi się improwizacją, chciałby, żeby tematy tabu nie istniały i nie wyobraża sobie wyjścia na scenę po alkoholu. Abelard Giza, jeden z najpopularniejszych polskich komików, bywa czasem jak dziecko, żarty pozwalają mu trzeźwo spojrzeć na rzeczywistość, a współpasażerowie nieraz mają go dość.

-Jaka jest najdziwniejsza, najbardziej błaha rzecz, która dała Panu dużą inspirację do tworzenia?

Nie potrafię tego stwierdzić wprost, cały czas dzieje się coś nowego, moje programy na pewno biorą się z obserwacji tego, co się dzieje w życiu moim, moich bliskich, Polski czy nawet świata. Im bliżej, tym jest to bardziej osobiste. Wszystko może być inspiracją - zamach, narodziny dziecka czy potknięcie kogoś na ulicy. Ja się staram mówić w taki sposób, żeby rzeczy przechodziły od małych, błahych, do bardziej uniwersalnych. Nie skupiać się tylko na anegdotkach, ale raczej przekładać je potem na coś szerszego. Czy to się udaje... to już inna sprawa, ale staram się szukać wszędzie. Patrzeć, słuchać, obserwować.

-W stand-upach często pojawiają się treści umoralniające, jak na przykład rzucone w publikę polecenie wybuczenia faceta w bluzie za to, jak się ubrał, żeby uzmysłwić ludziom ich posłuszeństwo wobec autorytetów, ślepe wykonywanie rozkazów. Czy bardzo zależy Panu na tym, żeby pomiędzy żartami przeemycać głębsze wartości, pokazywać ludziom ich wady, czy dzieje się to przypadkiem?

Nie lubię tego nazywać umoralnianiem czy edukowaniem, po prostu lubię mówić o wartościach uniwersalnych, chcę mówić o przywarach, ale nie wskazując palcem, że ten konkretny ktoś tam ma coś za uszami. Ja też mam mnóstwo wad i staram się z nimi wychodzić, bo zakładam, że jednak wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Chciałbym, żeby moje teksty miały drugie dno, żeby poza żartami, czasem błahymi, czasem wulgarnymi, poruszały jakieś poważniejsze kwestie. Właśnie taka komedia najbardziej mnie interesuje. W takim wydaniu stand-up, zachodni zwłaszcza, jest dla mnie najciekawszy. Poważne treści najlepiej przemycać widowni pod płaszczykiem komedii.

-Powiedział Pan kiedyś, że polski stand-up jest o wiele bardziej grzeszny w porównaniu z zachodnim. Czy według Pana są jakiegokolwiek granice, jeżeli chodzi o wyrażanie uczuć na scenie, czy jedyne kryterium to takie, żeby to co się mówi było szczere?

Uczucia na pewno muszą być szczere i autentyczne, ale myślę, że granicę każdy ma swoją. Nie mamy Schengen w byciu na scenie, po prostu wchodzę i tak długo, jak dobrze się tam czuję - dobrze, nie tylko w sensie pozytywnie, ale też naturalnie, w zgodzie ze sobą - to jest okej. Ale globalnie według mnie nie powinno być granic i tematów tabu. Oczywiście nasz warsztat nie pozwala jeszcze na poruszenie wszystkich kwestii, bo im bardziej skomplikowana czy kontrowersyjna myśl, tym trudniej ją dobrze podać. Trzeba odpowiednio dobierać instrumenty do tematu, który się porusza. Kiedy ogląda się takich mistrzów jak Bill Burr czy Doug Stanhope, widać to najlepiej. Wierzę, że my też jesteśmy w stanie zahaczyć o trudniejsze kwestie i mam nadzieję, że to tylko kwestia pracy i doświadczenia.

-Co jeśli chodzi o uczucia drugiego człowieka? Wspominał Pan kiedyś, że na zachodzie jest tak, że jeśli widownia przesadza, to stand-uperowi mogą czasem puścić nerwy, tam to jest normalne, jest po prostu taka konwencja, a widownia w Polsce jeszcze tego nie rozumie.

Nasza publiczność też powoli się wyrabia. Tak jak i my, zdobywa doświadczenie. Netflix oferuje mnóstwo zachodniego stand-upu. Do Polski zaczynają przyjeżdżać komicy ze Stanów czy Wielkiej Brytanii. Mogliśmy oglądać już takie ikony jak Dylan Moran, Eddie Izzard, Anthony Jeselnik, Louis C.K. czy wspomniany Bill Burr. Dostęp do komedii jest coraz większy i coraz częściej ludzie z niego korzystają. My też powinniśmy dążyć do tego, żeby być coraz ciekawsii, coraz bardziej różnorodni. I to się powoli dzieje. Stand-up to nie tylko te najpopularniejsze fragmenty na YouTube. Wojciech Fiedorczuk - jeden z moich ulubionych polskich komików - jest gościem z bardzo abstrakcyjnym i szalonym poczuciem humoru. Karol Kopiec, Mateusz Petryka czy Paulina Potocka to są ludzie, którzy pokazują, że w stand-upie nie ma tylko jednego nurtu, że są też inne, z którymi warto się zapoznać.

-Czy zdarzyło się Panu kiedyś, żeby fan jakoś bardzo znacząco przekroczył granicę prywatności, ogólnie akceptowalnego zachowania?

Prywatnie nie. Kiedy ktoś na przykład pyta o zdjęcie, a idę z córkami i żoną i grzecznie tłumaczę, że to nie jest najlepszy moment - ludzie to szanują. Jeśli chodzi o scenę, to nie jestem zwolennikiem rozmów w czasie występu, takiej interakcji. Są momenty, kiedy konkretnie kogoś o coś pytam, no i wtedy faktycznie fajnie, jeżeli jest jakieś zaangażowanie publiczności. Tak naprawdę komedia rządzi się różnymi prawami, między innymi timingiem. Czas reakcji, podawanie żartu, intonacja, pauza - takie elementy, które są niezbędne, żeby żart wybrzmiał. Jeżeli się nie zrobi odpowiedniej pauzy, nie podprowadzi kilkoma zdaniem bez śmiechu, jeżeli nie spowoduje się czasem konsternacji wśród słuchaczy, to ta główna część nie wybrzmi, pointa nie zadziała. Ja wiem, co będzie za dwa zdania, ale widz nie ma pojęcia. Jeżeli krzyknie coś w nieodpowiedniej chwili, kiedy ja buduję napięcie, to może zepsuć cały żart. Jasne, że jak to się zdarzy raz czy dwa, trudno, muszę się z tym liczyć.

Ale czasem ktoś taki nie rozumie, że przeszkadza i cisnie. A przeszkadza nie tylko mi, ale też całej reszcie.

-Co do scenariuszy, czy dużo razy musi Pan je modyfikować? Czy zdarza się, że jest jakiś żart, który według Pana jest wybitnie śmieszny, a potem okazuje się, że nikogo innego nie bawi?

Mam scenariusz, zapisuję sobie materiał, mam testy, w tym roku miałem kilkanaście takich występów w ciągu dwóch miesięcy. Wtedy mam małe salki, publiczność ma tego świadomość, wie, że coś może pójść nie tak, że może paść coś, co nie powinno paść już nigdy więcej i zwykle nie pada. Czasem mówię sobie "to rozwali, to na bank będzie mistrzostwo", a jest cisza, za drugim razem też jest cisza, no i wtedy ewidentnie widzę, że to nie widownia nie kuma, tylko ja... Czasem tak się zdarza, ale to jest też właśnie bardzo fajne w tym zawodzie. Po pierwsze, że nie wiemy wszystkiego, nie jesteśmy alfą i omegą. Często jest tak, że wchodzisz i masz wrażenie, że wszystko już wiesz o komedii, a okazuje się, że nie wiesz nic. Po drugie, bardzo fajna jest energia na tych testach, bo jednak ludzie wiedzą, na co idą i są wyluzowani, otwarci, dopingują nas. Trochę tak jakbym przychodził do kumpi i pytał "słuchajcie, co o tym myślicie? Niebardzo? Okej, to może inaczej." Usuwa coś, dokładam, zmieniam kolejność, jest całe multum możliwości, z godziny dwadzieścia na początku wychodzi mi na końcu niecała godzina. Jasne, że w trakcie występu dochodzą różne improwizacje, ale generalnie jest dużo przycinania.

-W czerwcu na You-Tube ukazało się nagranie z improwizacji z grupą AD HOC. Wspominał Pan, że nie przepada za zbyt częstą interakcją z widownią, a to jednak projekt, który w głównej mierze czerpie z improwizacji. Jakie były Pana wrażenia po czymś tak innym od stand-up'u?

To było w całości improwizowane. Bawią mnie komentarze w stylu widać, że to jest ustawione". Przecież to totalnie zepsułoby nam zabawę. Z improwizacją mam tak, że wolę sam improwizować niż oglądać, jak ktoś to robi. Są ludzie, którzy robią to o wiele lepiej niż ja, ale świetnie się bawię, będąc aktywnym uczestnikiem. Raz w miesiącu z grupą Dzikie Węże, do której należy Kacper Ruciński, Szymon Jachimek, Karolina Rucińska

i Kuba Śliwiński, w Parlamencie u nas w Gdańsku urządzamy sobie takie improwizacje. To działa bardzo oczyszczająco, pozytywnie. Improwizacja to dla mnie jeden z etapów, ona nie jest celem samym w sobie, tylko raczej czymś w rodzaju ćwiczenia, otwarcia się na nowości. Jeśli pytamy widzów, o czym to ma być, z kim, jakimi postaciami mamy się stać, co robić, to wtedy oddajemy się im na maksa. To też nie jest tak, że ciągle ktoś coś dorzuca, po prostu czerpiemy od widzów na początku, ustalamy wytyczne i potem my już tworzymy resztę. Lubię improwizację, ale nie kiedy mam przygotowany materiał i chcę opowiedzieć ludziom jakąś historię, wtedy chcę po prostu zrobić to tak, jak sobie wymyśliłem, a nie wdawać się po drodze w jakieś niepotrzebne dyskusje.

-Jakiś czas temu internet obiegrała informacja o aferze z Louiem, którym bardzo się Pan inspirował. Czy uważa Pan, że absolutnie każdy zasługuje na drugą szansę?

Nie wiem, czy wszyscy, absolutnie, bez wyjątku... Gdyby postawili przede mną typa, który właśnie zamordował dziecko, no to... Nawet jeśli każdy zasługuje, to najpierw emocje muszą opaść, a czasem to nie jest łatwe. Wszystko zależy od sytuacji. Na pewno nie chcę bagatelizować tego, co zrobił Louie, bo sam przyznał, że to się nie powinno stać. Ciągłe gdzieś na nim to ciąży, ludzie podczas występów wykrzykują czasem różne rzeczy w jego kierunku. Z jednej strony mogę zrozumieć oburzenie, ale z drugiej ja go po prostu bardzo lubię. Kocham jego komedię. To jest najwyższy poziom, jaki widziałem w stand-upie. Jest to tak mocne, tak śmieszne, tak często mądre. On doskonale miesza wysokie z niskim - to co w komedii kocham najbardziej. Ja mu dam drugą szansę. Co mam zrobić? Nie wiem, czy to jest dobrze czy źle, ale nie da się w paru słowach zawrzeć wszystkiego, nie chcę spłycać, bo to je-dnak trudny temat odnośnie przekraczania granic. To bardzo skomplikowane, kto, co, ile, jaka jest granica i w którym miejscu ją postawić, coś co dla jednego jest hardcorem, innego nie rusza. Zdecydowanie jest różnica między Louisem C.K. a Billem Cosbym - ten drugi odurzał i gwałcił nieprzytomne kobiety. Jemu nie dałbym kolejnej szansy. Żartowaliśmy nawet kiedyś o tym z chłopakami, jak śmieszny program musiałby zrobić coś aby, żeby ludzie mu wybaczyli. To jest chyba niemożliwe.

-Wyszedł Pan kiedyś na scenę po alkoholu - było już po występie, ale światło zgasło i chciał Pan jakoś zająć widownię - i wspominał Pan, że było dużo luźniej, swobodniej po tym alkoholu, ale je-dnocześnie padło, że to jest ślepy zaulek. Dlaczego?

Występowanie po alkoholu to nie jest taka „fajność” świadoma, tylko trochę na takim dopalaczu. Bałbym się, że gdyby bez niego wyszło gorzej, znowu chciałbym po to wrócić potem by się okazało, że bez alkoholu ciągle jestem spięty, a ta „fajność” jest tylko z nim. W tym momencie, jeżeli miałbym ileś występów w miesiącu i na każdym musiałbym być na rauszu, to prze-stałbym wierzyć w to, że sam potrafię być na tyle śmieszny, skuteczny, żeby bez alkoholu rozbawić publiczność. Poza tym alkohol otępia, jest fajny do pewnego momentu, a potem jest ta granica, w której to już jest niebezpieczne. Komik powinien mieć wystrzone zmysły i błyskawicznie reagować na wszystko, co się dzieje tu i teraz. Alkohol w dłuższej perspektywie nie pomaga.

-Chciałybyśmy zapytać o rodzaj występów, jakim są roasty. Czy w trakcie takiego występu pojawiają się ambiwalentne uczucia? Na ile wszyscy wiemy, że to są żarty i jest śmiesznie, a na ile to jednak trochę dotyka człowieka?

Mnie raz jedna rzecz, nawet nie tyle że dotknęła, tylko pomyślałem sobie: fajne, prawdziwe, muszę się nad tym zastanowić. Po to dla mnie są takie roasty, żeby sobie coś uświadomić, żeby coś przemyśleć, żeby stwierdzić: „kurde, nie jestem taki do końca fajny, jak sobie myślę, albo taki bez skazy. Faktycznie, tu nad czymś trzeba popracować”. Myślę, że najlepsze żarty na roastach są takie, które wbijają ci szpilę i zaśmiejesz się, pomimo tego, że trochę ukuło. Nie kojarzę nawet z rozmów zakulisowych, żeby po jakimś roaście ktoś poczuł się dotknięty albo się wkurzył na coś. Dla mnie osobiście ta forma na ten moment trochę się wyczerpała. Już się tym zmęczyłem. Może muszę się stęsknić i kiedyś wrócić. Zobaczymy.

-Ludzie są pełni hipokryzji, jednak nie wszyscy umieją albo nie chcą ich u siebie zauważać. Pan, wydaje się, doskonale zdaje sobie z nich sprawę. Czy bycie świadomym swoich sprzeczności bardziej utrudnia czy ułatwia życie?

Komikowi ogólnie to bardzo ułatwia, bo wydaje mi się, że wszyscy mamy te swoje mroczne strony, każdy z nas. Jeżeli ktoś nie ma, to wtedy jest podejrzany dopiero! Łatwiej się z przy-war śmiać, łatwiej się nabijać. Poza tym, jeżeli ja wiem, że mam takie coś, to zakładam sobie, że ty i ty, i parę jeszcze osób dookoła, nie ważne jak są wykształcone, jak są pozytywnie nastawione do świata, też mają swoje ciemne strony. Kiedy ja spuszcza-m to złe, ciężkie powietrze z siebie, wyrzucam to, co czuję, co jest słabe, ale jednak we mnie istnieje, to widzę, że ludzie też zaczynają to w sobie zauważać, mówić „kurde, mam tak samo, dopiero teraz mi gościu uświadomił, powiedział na głos coś, co ja myślałem”. To jest fajne, takie wyrzucanie tych demonów. Jak będziemy je hodować w sobie, to będzie kiepsko. To one mogą nas kiedyś złapać za mordę i przejąć kontrolę.

-Czy stand-up jest dla pana jakąś formą rozliczenia ze światem? Może autoterapii? Czy wyśmiewa Pan to, co Pana boli w życiu?

To zawsze jest formą wyrzutu, dlatego też zmieniam programy co roku, a ostatnio nawet częściej. Ja chcę, żeby ten program był taki, jaki ja jestem w tym momencie, mówię o tym, co mnie teraz boli, co mnie teraz cieszy, co mnie teraz wnerwia, w sobie, w ludziach, w świecie i tak dalej. Chcę, żeby program był świeży. Jak mi się do czegoś zmieni podejście, to pewnie przestanę o tym mówić albo zrobię o tym nowy bit i powiem, że coś mi się zmieniło. To jest chyba jakąś formą rozliczenia. Nie nazwałbym tego terapią, bo to nie jest tak, że muszę teraz wyrzucić z siebie to, że nie śpię od pięciu lat, bo mam dzieci. Kocham je, są cu-downe i śpię ostatnio nawet więcej, ale w programie to zawsze jest to jakieś wyolbrzymienie. Musimy pamiętać, że uprawiamy komedię. Jeżeli mówię o tym, że się nie wyspałem, to mogę stworzyć całą dziesięciominutową opowieść jak bardzo, żeby publikę rozśmieszyć. To jest nasz główny cel. Wyolbrzymiam i koloruję, bo gdybym opowiedział wszystko jeden do jedne-go, to byłoby nudne.

-Czy jest jakiś sposób w jaki by Pan, dla kogoś, zdefiniował siebie?

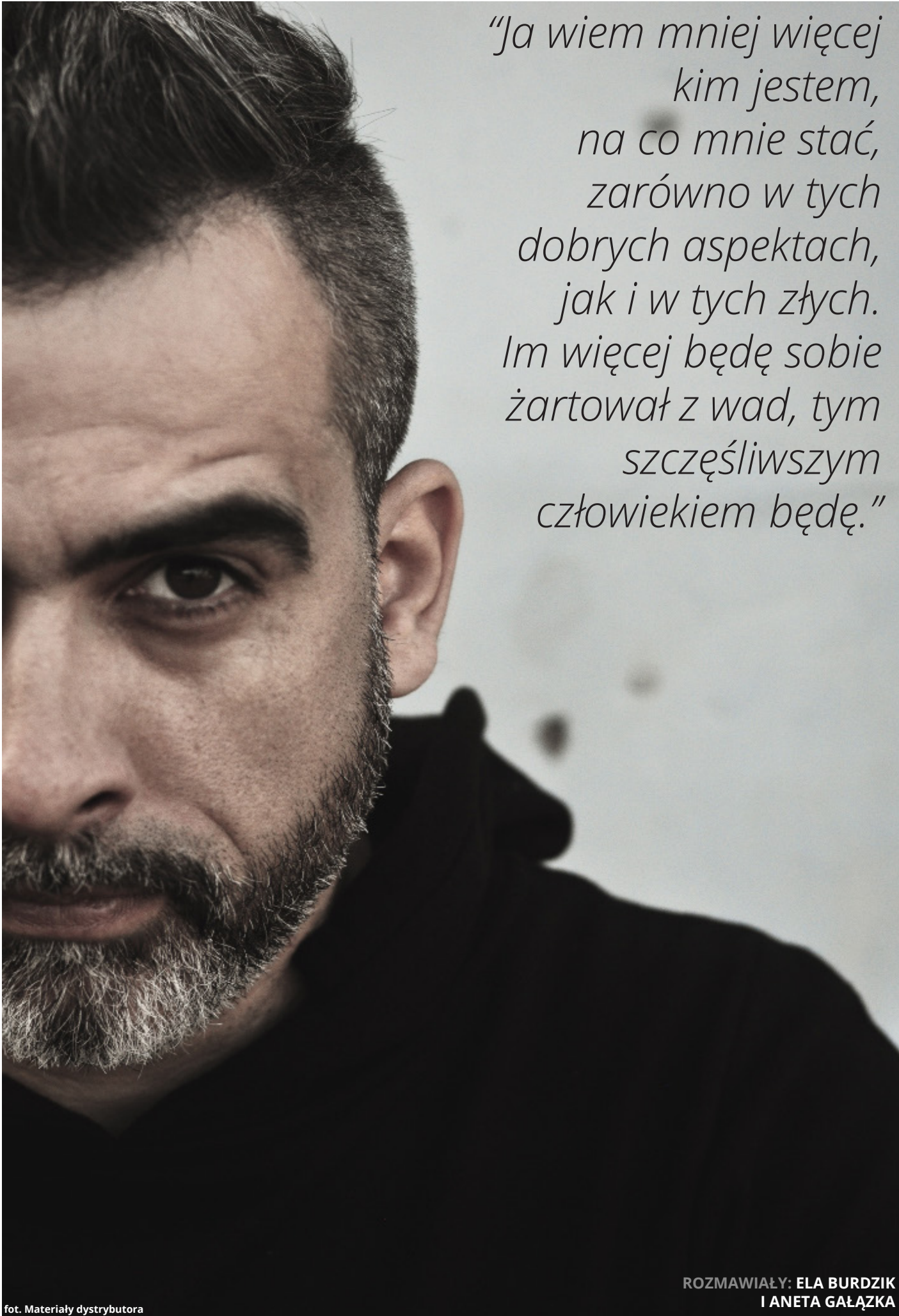
Nie wiem. Dla mojej żony i dla moich dzieci jestem inny i według nich jestem kimś innym niż dla widowni, dla dziadków, dla moich rodziców. Budujemy sobie gdzieś różne postaci w życiu i ciężko jest zdefiniować, kim ja jestem tak naprawdę. Ja sobie sam próbuję do tego dotrzeć przez lata. Nie wiem, to trudne pytanie.

-Byłyśmy ciekawe, czy w odpowiedzi pójdzie Pan bardziej w stronę ról społecznych - ojciec, twórca, czy może cech osobowości, bycia dobrym człowiekiem i tak dalej.

Czy jestem dobrym człowiekiem... nie można tego jasno stwierdzić. Nie chodzi o to, że uważam, że jestem zły, ale jednak mam w sobie różne złe rzeczy, których bym się chciał pozbyć. Czasami się pozbywam, m.in. też dzięki temu, że jestem na scenie i sobie robię z nich żarty, albo ktoś sobie robi żarty ze mnie. Staram się te złe rzeczy wynagradzać, robiąc coś dobrego, więc generalnie czasami uważam, że jestem spoko, ale wtedy znowu wydarza się coś, co zaburza mi ten obraz. I to jest ciągła walka. Do tego jestem bardzo emocjonalny. Jak jestem zły, to jestem bardzo zły, a jak jestem szczęśliwy, to jestem bardzo szczęśliwy. Jak mam zły występ, to siedzę i mam doła przez cały dzień, a jak mam super występ, to skaczę, biegam albo śpiewam w samochodzie. Jestem trochę jak dziecko.

-Ludzie często mają tendencję do takiego określania siebie za bardzo w tę stronę na plus i udawania, że tych minusów nie ma.

Spójrzcie na komików, a raczej na ich porównanie z raperami. Jesteśmy tymi śmieszkami, którzy ze swoich przywar i słabości robią komedię. Stereotypowy raper często musi być kozakiem w super furze, a ja na luzie mogę powiedzieć: „no i miałem auto, co miało 0,2 pojemności i wyciągało 12 na godzinę i mnie motyle prześcigały”. To jest tak, że im bardziej ja się do-gniotę do ziemi, tym dla was będzie śmieszniej. Wiadomo, że to są wszystko żarty, ale po pierwsze, w każdym żarcie jest trochę prawdy, po drugie, te żarty pomagają stanąć tak po prostu na ziemi. Nie musimy się napinać.



*“Ja wiem mniej więcej
kim jestem,
na co mnie stać,
zarówno w tych
dobrych aspektach,
jak i w tych złych.
Im więcej będę sobie
żartował z wad, tym
szczęśliwszym
człowiekiem będę.”*

ROZMAWIAŁY: ELA BURDZIK
I ANETA GAŁĄZKA



fot. Nela Rybak

Próba sił

Budzę się wcześniej rano. Patrzę na zegarek z niezadowoleniem. Miał być kwadrans PO ósmej, nie PRZED ósmą. Słyszę alarm, zdecydowanie nie mój, i wszystko jasne. Moja współlokatorka jednak też nie kwapi się do wstania. Jej budzik dzwoni jeszcze przynajmniej pięć razy, zanim decyduję się zejść z łóżka. Wkrótce jestem już ubrana. Za śniadanie służy mi kanapka, przywieziona z Polski. Co innego do jedzenia miałabym kupić, do akademika trafiwszy o dwudziestej drugiej dnia poprzedniego? Wychodzimy z pokoju pełne nadziei, że znajdziemy właściwą salę.

Wszystko dzieje się w poniedziałek, dwudziestego drugiego lipca. Pierwszy dzień kursu języka mandaryńskiego. Dzień egzaminów wstępnych.

Tuż pod akademikiem spotykamy dwie dziewczyny. Dalej idziemy we czwórkę, one przynajmniej wiedzą, gdzie mamy iść. Jak się okazuje, nasz wydział stoi bardzo niedaleko stąd. Jedna podróż windą w dół i jesteśmy na miejscu. Wszystkich uczestników, zebranych w sali konferencyjnej, jest

TEKST: NELA RYBAK

w sumie około dwudziestu. Sympatyczna pani rozdaje nam instrukcje logowania po dostęp do uczelnianego Wi-Fi oraz prezenty: podłużne, ślicznie zdobione woreczki, a w każdym jedna łyżka i para metalowych pałeczek. Na ścianie wyświetlają się trzy listy, na każdej inny numer sali. Zebranie kończy się po kilkunastu minutach. Kolejne kilka zajmuje mi znalezienie właściwej sali. Przychodzę spóźniona, jakże by inaczej, ale bez dalszych komplikacji rozsiadam się na krześle z arkuszem przed sobą.

Na widok pierwszego zadania łezka kręci mi się w oku, bynajmniej nie ze wzruszenia. Pozostałe wcale nie lepsze. Wszyscy namiętnie piszą. To daje mi jasny sygnał, że tylko ja spośród obecnych prezentuję się jako nowicjusz. W zadaniach zamkniętych zaznaczam na chybił trafił, byle nie oddać pustego arkusza. Tego na pisanie nawet nie zaczynam. Jakby tego było mało, zaczynam drżeć z zimna. Klimatyzacja daje mi się we znaki.

Nareszcie koniec. Oddaję arkusz szybko, ale nie zbyt wcześniej. Przechodząc przez próg słyszę, że zaraz rozpocznie się etap ustny.

Akurat teraz uświadamiam sobie, że to nie klimatyzacja tak mnie zmogła. Słabo mi, ale jeszcze idę o własnych siłach. Próbuję jeść bakalie, które wzięłam ze sobą na przekąskę, ale jedynie sprawiają, że schnie mi w ustach. Ludzie obok mnie gawędzą wesoło, a ja tylko patrzę w podłogę i liczę mrówki. Zaraz, czemu po uczelni chodzą mrówki?! Mniejsza z tym.

Idę do łazienki. Oplukuję twarz, opieram się o umywalkę i czekam. Kręci mi się w głowie. Niemal czuję ten charakterystyczny kwaśny posmak, ale nic nie nadchodzi. Właśnie to jest najgorsze, ta niepewność. Ostatecznie wychodzę, modląc się, by nie wzięło mnie w trakcie egzaminu.

Nadchodzi moja kolej. Poważnie zastanawiając się nad tym, jaki poziom mówienia właściwie reprezentuję po pierwszym roku studiów, siadam przed egzaminatorką. Z początku nie rozumiem, co do mnie mówi. Zaraz potem zaczyna zadawać podstawowe pytania. Ej, jednak nie jest tak źle! Jestem pewna, że ta część poszła mi znacznie lepiej.

Kilka minut później wchodzimy wszyscy. Do-

konuję pierwszej obserwacji. Wszystko, co ta kobieta do nas mówi, jest po chińsku. Nawet nie próbuje tłumaczyć na angielski. Gdy wychodzi, dopiero ktoś z uczestników wyjaśnia reszcie, że mamy poczekać tutaj na wyniki. Także czekamy. Siedzę w milczeniu, wzięta w dwa ognie przez klimatyzację i nudności, i słucham rozmów. Tak mija pół godziny.

W końcu przychodzi egzaminatorka. Po kolei wywołuje nas używając chińskich imion. Zostaję skierowana do wspólnej sali z dwoma osobami, więc już nie boję się zagubienia. Wraz z kolejną trójką tworzymy grupę podstawową. Pierwsze zajęcia odbywają się do godziny dwunastej. Trwają więc... kilkanaście minut.

Niedługo potem w ramach powitania siedzimy w chińskiej restauracji. Ryż, herbata, wybór mięs – wszystko wygląda świetnie, a ja ledwo co mogę przełknąć...

Skubię więc jedzenie drobnymi kęsami, nic nie mówiąc. Za to głośno jest w mojej głowie. A wszystko wychodzi od pytania: jeśli to dopiero początek, to co będzie dalej?



fot. Nela Rybak

Próba zrozumienia

Tegoroczne wakacje częściowo spędziłam za granicą. Konkretnie na drugim końcu świata. W poprzednim artykule zrelacjonowałam pełen nerwów okres egzaminów wstępnych przed kursem językowym w Taipei, stolicy Tajwanu. Czas więc na sprostowanie. Na początku było ciężko. Lecz z czasem nie miałam czego żałować.

Nie tylko polepszył się mój język chiński. Nauczyłam się też, że z podróży i przebywaniem w obcym kraju wiążą się zarówno momenty trudne, jak i te pozytywne, chociażby uświadomienie sobie, jak wyjątkowe jest miejsce, do którego się trafiło. Przedstawiam kilka ciekawych zjawisk społecznych, które zauważyłam, żyjąc na Tajwanie.

Pełne ubrania w lato. Widoczne to było już od pierwszych dni. Na zewnątrz trzydzieści pięć stopni Celsjusza, a ludzie chodzą obuci jak na polską jesień. Z początku aż się zawstydziałam za swoje szorty i koszuleczki na ramiączkach. Szybko zauważyłam, że nie mam czego, ale lokalne sklepy odzieżowe

i tak mają inny asortyment niż na Zachodzie. Gdzie nie patrzyłam, paniom oferuje się tylko szerokie koszulki z rękawami do łokci, sukienki do kostek lub kolan, długie spodnie, sweterki oraz tuniki, oczywiście z długim rękawem.

Błady kanon piękna. Tu być może nie zabłysnę, bo fakt, że blada cera u kobiet jest pożądana w rejonach Azji, to powszechna ciekawostka wśród pasjonatów tej kultury. Sama wiedziałam o tym już wcześniej. Mimo to, gdy pierwszy raz zobaczyłam dziewczyny idące w słoneczny dzień pod parasolem, zaczęłam poważnie się zastanawiać, czy właśnie narażam się na działanie jakiegoś tropikalnego promieniowania. A to tylko ucieczka przed opalenizną.

Użycie masek sanitarnych. W anime często widzimy postaci noszące maski zasłaniające nos i usta. U Tajwańczyków używanie ich jest na porządku dziennym. Z góry założyłam, że to pozwala im pójść do pracy lub szkoły i przy okazji nie zarażać wszystkich wokół, jednak widziałam też osoby ewidentnie chore, które masek nie nosiły.

Ciężar komunikacji na barkach przybysza. Obcokrajowiec w Polsce ma zazwyczaj gwarancję, że dogada się z miejscowymi po angielsku lub niemiecku. W Taipei nigdy nie wiadomo. Wielu pracowników w sferze usług mówi po angielsku bardzo dobrze, a niektórzy jadą na chińskim jakby wcale nie widzieli, że nie jestem stąd. Bywało niezręcznie, lecz nauczyłam się używać w praktyce kilku podstawowych zwrotów, których teraz nie zapomnę do końca życia.

Życie w chodzie. Minęło sporo czasu, zanim znalazłam miejsce, gdzie mogłabym kupić niedrogą kawę i delektować się nią na miejscu. Z reguły dostaje się napój w przenośnym pojemniku, aby móc od razu z nim iść dalej. W środku miasta nie ma nawet ławek. Tak jakby ludzie nigdy nie odczuwali potrzeby, żeby usiąść choć na chwilę...

Z zagadnieniem ostatnim być może nie wszyscy się zgodzą, jednak w moim osobistym odczuciu ujawniało się ono znacznie częściej na Tajwanie niż w Polsce.

Bezintersowna uprzejmość.

Zwykle bycie białą nie ściągało na mnie poważnych konsekwencji. Jednak pewnego dnia stałam na przystanku autobusowym i nieznajomy starszy pan zapytał mnie, dokąd chcę jechać. Innym razem jakaś kobieta w barze spytała znienacka, czy potrzebuję tłumaczenia listy dań. Słowem, ludzie oferowali mi pomoc, choć nigdy o nią nie prosiłam. Szczera dobroć czy wyuczona uprzejmość wobec nietutejszego? Nie wiem, ale doceniam.

Być może pewnych zjawisk nie rozumiałam do końca właściwie. Jednak to, że doświadczyłam tych rzeczy na własnej skórze, już poszerza moją perspektywę i obraz rzeczywistości, a tymi mogę dzielić się z innymi ludźmi, chociażby tutaj. To już sukces.

TEKST: NELA RYBAK



graf. Natalia Gabriel

DIY - trend, za którym warto podążać

Kultura współczesna wciąż zachęca do nieustającej konsumpcji, kupowania jak najnowszych oraz najpiękniejszych przedmiotów produkowanych masowo. Wśród tłumu otaczającego się popularnymi, cieszącymi oko rzeczami, wyłaniają się osoby, które chciałyby w swoim domowym zaciszu mieć coś niepowtarzalnego, z czego mogłyby być dumne. Nie trzeba mieć wielkiego talentu plastycznego, żeby samemu stworzyć coś, czym można pochwalić się znajomym. Obędzie się również bez wielkich zakupów w sklepie papierniczym, gdyż wystarczy dostrzec formy w rzeczach, na które prawie wcale nie zwraca się uwagi. Przykładowo, w kształcie wytłoczek po jajkach nietrudno dostrzec kształt kielichów kwiatowych, czekających tylko, aż ktoś je wytnie i muśnie farbą. Można dodać im odrobinę magii poprzez umieszczenie w środku lampki, diody LED. Tak samo proste jest przemienienie dna pustej butelki w niebieski kwiat. W tym wypadku polecam delikatnie wymodelować krawędzie nad płomieniem świecy, by nadać im kształt zbliżony do

TEKST: NATALIA GABRIEL

naturalnego. Im więcej materiałów mamy do dyspozycji, tym więcej pozaschematycznych pomysłów możliwych do wykonania. Niepozorne aluminiowe elementy wyrzucane wraz z puszkami, czy też oderwane, błyszczą się gdzieś na chodnikach. Zawleczeni, o których mowa, można przeistoczyć w przyciągające wzrok nietuzinkowe dodatki, takie jak torby, bransoletki, lub zawieszki. Kreatywni artyści z dużej ilości tworzą z nich klosze do lamp, czy nawet kolczugi i rzeźby. Na sam początek polecam zacząć od połączenia dwóch lub kilku zawleczek sznurkiem, tworząc bransoletkę, czy zawieszkę przypominającą serduszek.

DIY nie musi się kojarzyć tylko z tworzeniem tzw. „zbieraczy kurzu”. Rodzi się coraz to więcej pomysłów i wiele zastosowań odpadów, które ułatwiają nam organizację życia codziennego. Jednorazowe worki po zakupach czy reklamówki są dobrym materiałem do wyplatania lub dziergania koszy. Jeśli folia nie jest zbyt cienka, taka siatka będzie wystarczająco sprężysta i wytrzymała. Plastikowa wiklina sprawdzi się w roli koszyczka na owoce, które, gdy są nieświeże,

zostawiają ciężko zmywalne ślady. Z mniejszym bólem rozstaniemy się z nim niż z tradycyjnym drewnianym.

Wśród gadżetów dostępnych w sklepach chwalcymy się najniższymi cenami w mieście, znajdziemy różnego rodzaju pudełka-segregatory. Moim zdaniem produkowanie tego typu przyborników jest zbędne, ponieważ z łatwością można złożyć je samemu z niepotrzebnych kartonów i ozdobić według własnego uznania. Pudełko z przegródkami jest dość przydatnym pomysłem, zwłaszcza dla osób posiadających bardzo dużo drobnych rzeczy w delikatnych osłonkach. Pokrywka może osobno posłużyć do wyeksponowania biżuterii, jeśli przymocujemy do niej korki od wina, czy gwóźdźki, albo też jako podłoże do przestrzennej gry opartej na idei wyprowadzenia kulki z przestrzennego labiryntu. Wtedy jednak należy dodatkowo przymocować ścianki z kartonu. Proste patenty są najbardziej przydatne.

Widząc tak wiele pomysłów przedmiotów ułatwiających organizację rzeczy gotowych w sklepach, na pewno pojawiają się myśli – po co się zatem trudzić?

Śmiało można odpowiedzieć – po to, żeby zaspokoić drzemającą gdzieś w nas potrzebę tworzenia. Warto poświęcić trochę cennego czasu na kreatywne zajęcia, które mogą stać się pewnego rodzaju terapią i odskocznią od problemów dnia codziennego. Oprócz tego, że prace manualne poprawiają samopoczucie, to korzystnie wpływają na pracę mózgu, chronią pamięć i koordynację wzrokowo-ruchową. Zachęcam więc do szukania inspiracji i próbowania swoich sił podczas podróży pociągami, przerwy między zajęciami, czy w domowym zaciszu przy ulubionej kawie. DIY może stać się kuszącą alternatywą na przykład dla spędzania czasu przed telewizorem. Robiąc coś twórczego razem uczymy się nawzajem swoich umiejętności i współpracy.



Spoczywaj w pokoju

Pierwsza odsłona serii „Assassin's Creed” nie dość, że przyniosła dość spory sukces marketingowy, to ponadto w środowisku graczy została przyjęta naprawdę bardzo dobrze. Fakt, iż gra w dużej mierze uchodziła wyłącznie za prototyp, a raczej szkic tego, co tak naprawdę deweloper chciał osiągnąć, jedynie podsyciło nadzieje, że w niedalekiej przyszłości ukażą się kolejne, kompletne i w pełni rozwinięte części bazujące na pierwowzorze. Po niespełna dwóch latach od premiery pierwszej części ukazuje się „Assassin's Creed II”, który już parę miesięcy wcześniej, na prezentowanych trailerach, wypadł rewelacyjnie, jednocześnie coraz bardziej pompując balonik oczekiwań.

Fabula „Assassin's Creed II”, mimo iż znacząco odbiega od poprzedniczki, uchodzi za swoiste dopełnienie pierwszej części. Po raz kolejny gracze mają możliwość wcielenia się w postać Desmond'a Milesa, który za sprawą maszyny zwanej Animusem jest w stanie łączyć się genetycznie z kodem swoich przodków. Tym oto sposobem akcja sekwela trafia do XV-wiecznych Włoch, a konkretnie do re-

nesansowej Florencji, gdzie - jak później się okazuje - na świat przychodzi, jedna z najważniejszych postaci zakonu asasynów - Ezio Auditore. W późniejszych sekwencjach fabuły przenosimy się o około dwadzieścia lat w przyszłość, aby już pełnoprawnie wcielić się w naszego bohatera. Poznajemy go jako syna wpływowego bankiera, a także osobę, która prowadzi raczej beztrudne życie pełne zabaw, ulicznych bójek oraz pięknych kobiet. Po niedługim czasie jego życie zostaje wyrwone do góry nogami - jego rodzina staje się ofiarą spisku, co w konsekwencji kończy się śmiercią zarówno jego ojca, jak i braci. Ezio poprzysięga zemstę, natomiast do realizacji swoich planów wykorzystuje odziedziczony dobytek swojego ojca, który w przeszłości należał do tajnego bractwa zabójców. Od tego momentu bohater stopniowo staje się asasynem, natomiast dekonspiracja całego spisku okazuje się kluczowa dla losów świata.

W porównaniu do poprzedniej części „Assassin's Creed II” może pochwalić się m.in. poprawieniem fabuły oraz konstrukcji misji, ciekawszą opowieścią z całą masą nowych postaci,

a także urodzajem lokacji z zawartym systemem szybkich podróży między wspomnianymi miastami oraz pobliskimi wsiami. Ponadto, gra znacząco poprawiła się pod kątem oprawy wizualnej - dobrze odwzorowane zabudunki poszczególnych miast i unikalność lokacji generują niepowtarzalny klimat na każdej płaszczyźnie rozgrywki. Rozwinięto również techniki kamuflażu chociażby o możliwość schowania się w wodzie oraz techniki walki, dzięki czemu nasz główny bohater dysponuje znacznie bardziej rozbudowanym arsenalem wpływającym na poziom jego umiejętności i zdrowia. Oprócz tego do rozgrywki dodano całą masę obiektów do zbierania, zaczynając od skrzyń, przez pióra, a kończąc na stronach kodeksu, które po zebraniu rozszyfrowuje dla nas sam Leonardo da Vinci. Na szczególną uwagę zasługują jednak scenki przerywnikowe, które za sprawą swojego filmowego sposobu narracji, są swoistym dopełnieniem całej opowieści. Najbardziej jednak urzekła mnie piękna ścieżka dźwiękowa skomponowana przez Jespera Kyda, która idealnie współgra z oprawą oraz zapewnia graczeowi.

większą immersję z całą historią opowiedaną w grze.

„Assassin's Creed II” od początku do końca gwarantuje niesamowitą przygodę w renesansowych Włoszech, pełną nagłych zwrotów akcji i całej masy gamingowych smaczków. Bez wątpienia jest to podróż, w którą choć raz każdy szanujący się gracz powinien się wybrać...



fol. Natalia Szponder

Okiem sportowca

Sport jest niewątpliwie pasją wielkiej liczby ludzi na całym świecie. Niektórzy lubią grać w piłkę, inni wolą popływać, następni zaś lubią sporty walki (nie mówię o oglądaniu filmów z Jackie Chanem). Co jednak gdy pasja staje się czymś więcej niż tylko przyjemnością?

Zajmuję się sportem od 13 lat, a dokładniej karate i stwierdzam jednoznacznie, że określenie go pasją to za mało, gdyż uprawiam go w wersji sportowej. Można by powiedzieć, że jest to swego rodzaju praca (z tą różnicą, że w pracy się zarabia), ponieważ nie robię tego tylko wtedy gdy mam ochotę, ale i wtedy kiedy zupełnie mi to nie odpowiada. Żeby coś osiągnąć trzeba systematycznie ćwiczyć i starać się z całej siły. Wiem, że brzmi to co najmniej nudno i dość przerażająco, ale nie ma się co przejmować, trzeba szukać pozytywów, mimo iż sytuacja w Polsce bardzo zniechęca do tego pięknego sportu.

Czym zatem jest karate sportowe (karate WKF)?

Wielu ludzi słysząc o tym sporcie, zawsze pytamnie czy umiem rozwalać deski pięścią, albo czy kiedykolwiek kogoś pobiłam. Niestety, prawda jest taka, że nigdy nawet tego nie próbowałam, a pobicie kogoś skutkowałoby zabranieniem licencji sportowej i prawdopodobnie więzieniem (uprawiając sztuki walki nie można nikogo zaatakować, gdyż prawnie jest to równoważne z użyciem broni białej).

Karate sportowe jest treningiem pozwalającym ulepszać swoje techniki tak, by były jak najbardziej poprawne i zawsze trafiały w cel. Oprócz tego zawsze wpajano nam, że możemy go używać tylko w obronie własnej, bądź jeżeli chcemy kogoś obronić. Dzielimy go na dwie dziedziny: kata - układy technik i pozycji, nazywane także walką z cieniem; oraz kumite - walka sportowa. Nie chcę opowiadać wam tylko suchej teorii więc przedstawię karate z innej strony, zawodniczej.

Przygotowanie do zawodów

Start w zawodach jest kwintesencją wszystkich starań, treningów i wyrzeczeń. Podczas startu widać wszystko czego zabrakło podczas przygotowania. Często są to rzeczy typu: brak energii, gdyż ćwiczenia kondycyjne były wykonywane zbyt rzadko bądź niestaranie, lub strach przed przegraną, co jest skutkiem, np.: przewlekłego stresu w życiu.

Żeby dobrze wystartować trzeba zwracać uwagę na wszystkie aspekty, oczywiście pierwsze jest przygotowanie motoryczne, później szybkość, technika, zachowanie podczas walki no i przygotowanie psychologiczne (niestety z tym Polacy mają wielki problem). Nasze przygotowanie polega na trzech treningach tygodniowo z grupą oraz co najmniej dwóch indywidualnych, gdzie chodzimy na siłownię, biegamy, bądź spotykamy się dodatkowo z trenerem.

W weekendy zazwyczaj są wyjazdy na zawody, więc musimy większość rzeczy ogarnąć w tygodniu, co często jest problematyczne, ze względu na napięte plany zajęć, nie mówiąc już o czasie dla siebie bądź dla znajomych.

Wyjazdy

To zdecydowanie najciekawsza rzecz w mojej karierze sportowej, ale niestety bardzo ciężka od strony finansowej i psychologicznej. Chodzi oczywiście o wyjazdy na zawody lub zgrupowania. Jeżeli mówimy o tych krajowych, to jako zawodnicy nie musimy się przejmować aż tak bardzo kosztami, dopłacamy jedynie jakieś 30-40zł za tzw. startowe, a resztę pokrywa klub (w moim przypadku jest to KK Nidan Zawadzkie). Niestety, międzynarodowe zawody, wysokiej światowej rangi nie są finansowane ani przez klub (który ledwo może wydolić z krajowymi), ani przez państwo, które jest za bardzo zajęte wojną polityczną Polskiego Związku Karate i Polskiej Unii Karate,

żeby nam cokolwiek zaproponować, oprócz możliwości reprezentowania kraju (innymi słowy: możecie startować, ale zapłaćcie sobie sami, no i zorganizujcie cały wyjazd).

W ten sposób jako reprezentanci kraju startowaliśmy na zawodach Pucharu Świata w m.in. Chinach, Austrii, Hiszpanii, Turcji (niektórzy nawet polecili do Japonii), a przykładowo na wyjazd na Mistrzostwa Świata w Santiago de Chile, które odbywały się w dniach 23-27. października tego roku musieliśmy zebrać 5500zł, po czym dowiedzieliśmy się, że musimy jeszcze sporo dopłacić.

Chcąc liczyć się w tym sporcie, trzeba mieć miliony na koncie, albo chodzić po różnych instytucjach błagając o pieniądze, bądź zakładać zrzutki, żeby jakoś wydolić i mieć jeszcze za co żyć (pozytywnym w tej sprawie jest możliwość otrzymania różnych stypendiów z gminy i województwa, dzięki nim możemy się uczyć, nie są to jednak wielkie sumy, ale doceniamy każdą pomoc). Bez takich wyjazdów Polska byłaby w jeszcze gorszej sy-

tuacji... Przykładowo, na ostatnich zawodach zwanych Premier League (Puchar Świata) wszyscy Polacy (włącznie ze mną) przegrali pierwszą walkę, a są to wspaniali karatecy. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest przymus ciągłego biegania za pieniędzmi, przez co czas na trening się skraca; stres związany z możliwością, bądź nie, wyjechania na zawody; brak jakiegokolwiek szkolenia.

Od wielu ludzi słyszę się: „kurczę jak ty masz fajnie, jeździsz po świecie, zazdroścuję ci...” Oczywiście, sam wyjazd jest super doświadczeniem, można powalczyć z najlepszymi zawodnikami na świecie, pozwiedzać mnóstwo miejsc, spędzić wspaniałe czas. To jest naprawdę piękna przygoda, dodatkowo połączona z ukochanym sportem. Niestety, z wiadomych przyczyn często się szybko kończy, a porażka na takich zawodach boli trzy razy mocniej niż w Polsce.

Szkolenie zawodników w Polsce i na świecie

Zawsze wszystkich zastanawia dlaczego nam

nie idzie na wielkich zawodach (wyjątkiem jest Dorota Banaszczyk, zeszłoroczna Mistrzyni Świata seniorów, oraz medalistka Open de Paris, prestiżowych zawodów Pucharu Świata, która dzięki temu uzyskała pieniądze od sponsorów), a ja mam prostą odpowiedź ... bo nie mamy centralnego szkolenia kadry narodowej. Nie jeździmy na zgrupowania kadrowe, ani nie mamy żadnych spotkań związanych z tematem wspólnego startowania. Nie możemy bliżej się poznać ze znajomymi z kadry (tylko chwilę porozmawiać na zawodach), nie możemy razem potrenować (chyba, że przyjedziemy razem na zgrupowanie i oczywiście za nie zapłacimy), przez co ciężko nam sobie kibicować wzajemnie. Nie wspomnę już o fizjoterapeucie, dietetyku czy psychologu sportowym, którego ma praktycznie każda kadra narodowa za granicą.

Przykładowo: kadra Ukrainy – spotyka się bardzo często, mają wsparcie fizjoterapeuty, który od razu się nimi zajmie oraz mają roz-

pisane zawody na cały rok. Ich zawodnicy w większości są w pierwszej 10 w rankingu światowym. Przy nich jesteśmy zwykłymi amatorami, którzy udają zawodowców. Prawda boli, ale tak niestety jest.

Wszyscy myśleli, że po tym jak karate dostanie się na Olimpiadę w Tokio wszystko się zmieni (oficjalnie została dołączona do programu już ponad rok temu), jednak pomyliliśmy się także w tej kwestii. Cały świat świętował i zaczął program przygotowawczy, wszyscy zwariowali na tym punkcie i zaczęli mocno trenować. Polska natomiast zaczęła walkę polityczną pozbawiając nas głosu decydującego i przymus dosostosowania się do warunków obu stron (Polski Związek Karate walczył z Polską Unią Karate o władzę, wyszło na to że PZK może pobierać pieniądze z ministerstwa, a PUK może wystawiać zawodników na zawody karate WKF ale nie dostanie ani grosza... niestety spór dalej stoi w martwym punkcie, bo nikt nie umie się dogadać). Tym sposobem, jak to ujął



fot. Oficjalny fotograf Polish Open

mój trener, „Cały świat przygotowuje się do olimpiady, tylko nie Polska”, więc jeżeli nic się nie zmieni, to nie zobaczymy reprezentanta Polski w Tokio.

Oczywiście tradycja karate mówi o tym, że póki walczysz jesteś zwycięzcą, więc nie spoczniemy póki coś się nie zmieni, bo może i my nie dojdziemy aż tak daleko

(miejmy nadzieję, że się mylę w tej kwestii), ale chcemy żeby karate w Polsce kiedyś zaczęło dawać możliwości, bo mamy wielu wspaniałych zawodników, a możemy mieć

jeszcze więcej. Liczę, że jeżeli nie my, to nasi podopieczni podbiją świat, bo jak wiemy, Polacy mają wielkie serca i potrafią się bić o swoje.



fol. Krzysztof Różański

fol. K. Różański

Ciekawostki

- Karate WKF, to sport walki gdzie wystarczy dotknąć zawodnika by dostać punkt, a zbyt mocne uderzenie jest wykroczeniem i skutkuje karą. Cztery kary skutkują dyskwalifikacją zawodnika z walki.
- Zawodnicy walczący ze sobą, po walce normalnie rozmawiają i nie złością się za przykładowe obicie komuś twarzy, zdarzają się też żarty typu: „Ty, pamiętasz jak, podbiłeś mi oko? Hahaha”.
- W kata liczy się dopracowanie pozycji i techniki, ocenia je 7 sędziów, a w kumite liczy się dynamika i trafianie do celu, ocenia je 4 sędziów bocznych i jeden środkowy.
- Złość i zbyt duża agresja to źle postrzegane postawy podczas walki, najlepiej odnosić się z szacunkiem i nie protestować, nawet przy kontrowersyjnych decyzjach sędziów.
- Podczas walki oboje zawodnicy skaczą (często dla normalnych ludzi wygląda to komicznie).



UNIVERSITAT
DE VALÈNCIA



UNIVERSITÀ
DEGLI STUDI
DI PALERMO



JYVÄSKYLÄN YLIOPISTO



JOHANNES GUTENBERG
UNIVERSITÄT MAINZ

graf. Hania Wieczorek

KONSORCJUM "FORTHM"

Z dumą pragniemy ogłosić, że konsorcjum, w którego skład wchodzi Uniwersytet Opolski, dostało się do grupy laureatów konkursu „Inicjatywa Uniwersytetów Europejskich”, ufundowanego przez program Erasmus+. Koordynatorką projektu z ramienia Uniwersytetu Opolskiego jest dr Barbara Curyło z Wydziału Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej.

Pozostałe uniwersytety w konsorcjum to Johannes Gutenberg Universität Mainz (Niemcy), Université de Bourgogne (Francja), Università degli Studi di Palermo (Włochy), Universitat de València (Hiszpania), Latvijas Universitāte (Łotwa) oraz Jyväskylän yliopisto (Finlandia).

Celem Inicjatywy Uniwersytetów Europejskich jest umocnienie współpracy pomiędzy europejskimi uczelniami wyższymi i stworzenie idealnej formy „Uniwersytetu Europejskiego”, co miałyby prowadzić do zwiększenia konkurencyjności uniwersytetów europejskich na arenie międzynarodowej. Ponadto, ma również prowadzić do zwiększenia mobilności pracowników uniwersyteckich i studentów oraz dać im

naukowego poprzez studia w kilku różnych państwach.

Częścią projektu, która powinna wzbudzić duże zainteresowanie, jest możliwość wyjazdu do uniwersytetów partnerskich na okres pięciu lub dziesięciu dni, czyli zdecydowanie krócej niż w ramach projektu Erasmus+. Dodatkowo, każdy członek konsorcjum będzie odpowiedzialny za poszczególną dziedzinę badań naukowych. Głównym tematem badań na Uniwersytecie Opolskim będzie szeroko pojęte „Doświadczenie Europy”. Pozostałe uniwersytety wybrały tematy takie jak „Migration and diversity” (Włochy), „Multilingualism” (Finlandia) czy „Food science” (Francja). Dwa dodatkowe tematy zostaną wybrane przez uniwersytety na Łotwie oraz w Finlandii. Konsorcjum może liczyć na wsparcie finansowe do pięciu milionów euro, rozdzielone pomiędzy poszczególnych członków. Fundusze te zostaną przeznaczone na wyżej wymienione laboratoria, wsparcie technologiczne oraz biblioteki.

CONSORTIUM "FORTHM"

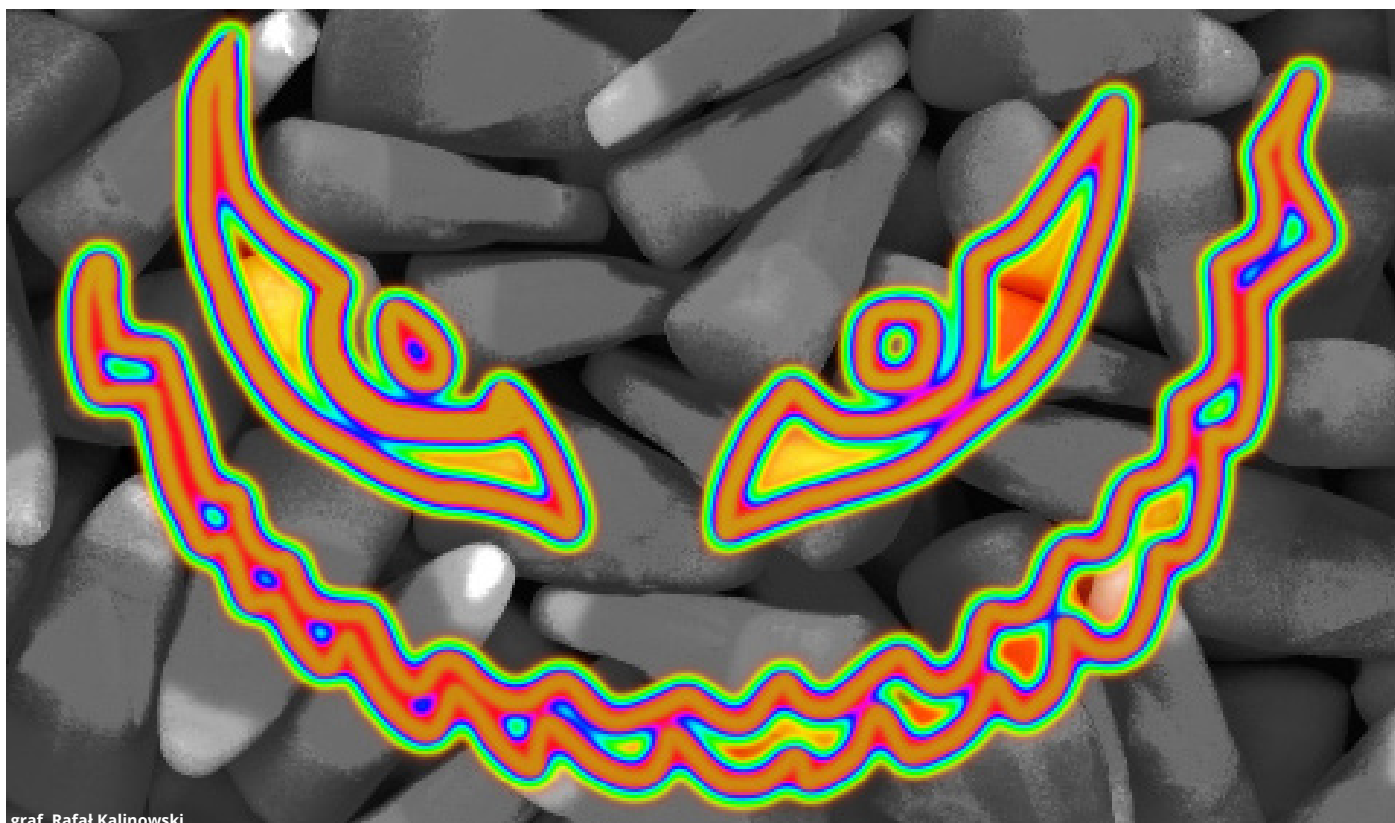
We are proud to announce that the consortium with the University of Opole was included in the group of laureates of the European Universities Initiative competition funded by the Erasmus+ program. The head of the project at our university is dr. Barbara Curyło of Institute of Political Science and Administration.

Other universities included in the consortium are Johannes Gutenberg Universität Mainz (Germany), Université de Bourgogne (France), Università degli Studi di Palermo (Italy), Universitat de València (Spain), Latvijas Universitāte (Latvia) and Jyväskylän yliopisto (Finland).

The European Universities Initiative is aimed to strengthen partnerships between European colleges, to encourage the emergence of an ideal form of “European Universities” and therefore contribute to the international competitiveness of European universities on the international stage. It shall also increase the mobility of employees and students and allow them to obtain a degree by combining studies in several EU countries. Interesting part of the project is enabling students to travel to partner universities

for five or ten days, a period of time significantly shorter than Erasmus+. Additionally, each member of the consortium will be responsible for a certain field of research. The main focus of the University of Opole will be “Experiencing Europe”. Other universities have chosen such topics as “Migration and diversity” (Italy), “Multilingualism” (Finland) and “Food science” (France). Two additional topics are yet to be chosen by the universities from Latvia and Spain. The consortium can count on a three-year grant of up to five million euros. The funds will help joint research groups, technology transfer centers and libraries.

TEKST: HANIA WIECZOREK



graf. Rafał Kalinowski

Do turkeys like candy corn

Jesień ma w sobie to coś. Tę aurę przemijania, która nie jest przykra, ponieważ nikt nie umiera z zimna, ani nie jest upiorna, jak śmierć w wyniku morderczych promieni słońca, które niecierpliwie stoją u bram ziemskiej atmosfery, by wykończyć nas wszystkich! Za to pora roku ta jest urokliwa, zawsze modna i estetycznie przyjemna, a zwłaszcza jej święta.

Wiadomym jest, że wiosna jest czasem odrodzenia, lato - porą rozkwitu, zima to symbol snu i śmierci, natomiast jesień łączy w sobie wszystkie powyższe. Odrodzenie możemy potraktować jako okazję do ogólnej przemiany, pokonanie śmierci, początek życia. Rozkwit przekłada się na żniwa, które po ożywczym lecie, możemy zebrać i zakończyć pracę w polu.

Po owocnych zbiorach opadamy w letarg i z czasem kończy się nasz żywot. Jak to się przekłada na święta? Już wyjaśniam. Obecnie w kulturze całego świata popularne są następujące jesienne święta: Halloween, Wszystkich Świętych i Dzień Dziękczynienia, gdzie każde z nich ma swój motyw przewodni i konkretny cel do osiągnięcia.

Według tradycyjnych podań Halloween reprezentuje tutaj wiosnę, gdyż to właśnie wtedy granica kręgu życia jest najcieńsza. Umożliwia to nam reaktywację mitów i strasznych historii, poprzez przebieranie się za monstra, zbieranie owoców kapitalizmu od jego zwolenników i tym podobne. Ważne jest to ciągłe odradzanie się legend, poprzez utrzymywanie ich przy życiu, opowiadanie i przekształcanie na nowe sposoby, ponieważ tylko wtedy możemy utrzymać nadzieję na przetrwanie zimy.

W tej dość oczywistej metaforze, zimą jest Wszystkich Świętych, dzień poświęcony pamięci o tych, którzy po odegraniu swojej roli, oddali się wiecznemu letargowi. We Wszystkich Świętych jest też ten przykry element, czyli popularne od wielu lat prześciganie się w pomysłach na grobowe szachy: „Kto położy największy znicz na grobie nestora rodu? Czy dwa małe znicze to nie za dużo na mogile tej części rodziny, której nie lubi babcia?”. No cóż, taki jest już urok nagrobnych wypraw.

Ostatnim tematycznie, a zarazem przedostatnim chronologicznie jest lato i Dziękczynienie. Święto to jest oryginalnie świętem amerykańskich osadników, którzy po zbrodniczych ludobójstwach na rdzennych mieszkańcach, lubili sobie usiąść przy swoich „cywilizowanych” stołach i - ogólnie rzecz biorąc - „być wdzięczni” za to, że dobry Bóg pozwolił im na dokonanie licznych morderstw. Z czasem, oczywiście, przekształciło się to w ogólną wdzięczność za dobry rok, ale należy pamiętać o pełnej genezie tych wydarzeń, gdyż za większością z nich niechybnie czai się jakaś mroczna i ponura tajemnica. Bawcie się dobrze, uzbrojeni w wiedzę, która, być może, pozwoli Wam inaczej spojrzeć na przyszłe iteracje tych dorocznych wydarzeń, bez względu na to, czy je obchodzicie, czy też nie.



TEKST: RAFAŁ KALINOWSKI



fot. Grzegorz Gajos

RECENZJA „ZORRO”

Każdy z nas zna Zorro. Kojarzy nam się z tajemniczym bohaterem i charakterystyczną literą „Z”. Co dokładnie o nim wiemy?

Zorro to legenda, którą można zinterpretować na wiele sposobów. Zadania tego podjął się Paweł Aigner, reżyserując spektakl w taki sposób, by środek ciężkości nie spoczywał tylko na bohaterze w czarnej pelerynie. Początkowo – rzeczywiście – szukamy go wzrokiem, zastanawiamy się, kiedy pojawi się na scenie i jak jego rola będzie wyglądać. Z czasem interesujemy się także pozostałymi bohaterami, którzy – jak się okazuje – są najważniejszym elementem spektaklu.

Tytułowy Zorro jest dokładnie taki, jakim sobie go wyobrażamy i jakiego znamy. Przede wszystkim pojawia się i znika. Jest jak cień, który niby nieobecny, ciągle gości na ustach pozostałych bohaterów,

co tylko dodaje mu tajemniczości i mroku. Cała akcja rozgrywa się wokół tej postaci widmo. Najistotniejsze jest jednak to, że „Zorro” obnaża dość uniwersalne prawdy o człowieku. Każdy chce dopaść tajemniczego Zorro i dzięki temu zyskać sławę. Nie ma tu znaczenia moralność, sprawiedliwość czy odwaga. Nagroda jest wielka, gdyż sława i uznanie nie mają ceny.

Można więc sądzić, że spektakl ten będzie pełen intryg, prawie jak kryminalne historie. Tymczasem owszem, intrygi są, ale towarzyszące ogromnemu poczuciu humoru. „Zorro” w Teatrze Lalki i Aktora jest komedią, w której naprawdę można się zgubić. Tempo gry może dorównywać najlepszym przedstawicielom tego gatunku. Szybkość, wartka akcja, wyraźne charaktery i treściwe dialogi to właśnie to, co zdecydowało o pozytywnym odbiorze tego spektaklu przez publiczność.

Nie będę również ukrywać, że urzekła mnie kompozycja szkatułkowa zastosowana przez reżysera. Motyw teatru w teatrze pozwolił przemycić do „Zorra” wielkie dzieło Shakespeare’a jakim jest „Hamlet”. Znanie z niego „być albo nie być”, nasuwające się na myśl, miało dla mnie zarówno komediowy, jak i metaforyczny wydźwięk. Czym dla bohaterów było „być”, a czym było „nie być”? Czy lepiej rozumieli je odgrywający „Hamleta” aktorzy, czy szukający Zorra odważni bohaterowie?

Jest jeszcze jedna zastanawiająca kwestia. Spektakl przeznaczony jest dla osób w wieku od 10 lat. Oni przecież nie znają „Hamleta”. Jak więc odbiorą spektakl i w jaki sposób go zinterpretują? Sądzę, że wielką zasługę w pomocy interpretacji ma tu scenografia, muzyka i ruch sceniczny. Często zachowania bohaterów, ich mimika oraz gesty są kluczem do zrozumienia wypowiedzianych kwestii.

„Zorro” jest opowieścią o pogoni za chwałą, uznaniem i sławą. Jego sukces polega na rezygnacji z patosu i ujęciu ważnych tematów z humorem przy jednoczesnym ich niezbanalizowaniu. Takie tematy jak miłość, bogactwo, chęć posiadania czy intryga zawsze będą chętnie oglądane na scenie. By ich nie spłycić, trzeba umiejętnie podszyc je humorem i znaczeniem uniwersalnym, a w tym spektaklu to wszystko zostało zrobione.



fot. Patrycja Drabik

Choroby naszych czasów

Życie zaskakuje nas w najdziwniejszych momentach, nie sądzicie? Podczas gdy wydaje nam się, że trzymamy wszystko w ryzach, ono udowadnia nam, że nie jest i nie będzie tak prosto jak zakładaliśmy, jeśli na to właśnie liczyliśmy lub, nie daj Boże, cokolwiek planowaliśmy. Planować można wszystko, zawsze i wszędzie, ale czy efekty tychże działań dojdą do skutku - tego nie możemy być pewni. Warto mieć zawsze zapasowy plan z tyłu głowy i brać pod uwagę różne ewentualności. W końcu życie zmienia się nieustannie, a czas biegnie przed siebie jak szalony.

Tak samo jak on, biegamy i my. Do szkoły, na zajęcia, do pracy, na pociąg, autobus, czy uciekamy od obowiązków. Znajdujemy się w stanie dynamicznym, statyczny został już dawno zapomniany w XXI w. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie, gdy patrzę na siebie lub ludzi wokół, a przyglądam im się dosyć często. Jednym z wyników takiego pośpiechu są również wszechobecne problemy z psychiką, jakich doświadczają coraz więcej osób - w młodym wieku, lecz nie tylko. Wydawać by się mogło, że to przecież młodzież cierpi najbardziej, bo jest doświadczona przez problemy, które zdają nawarstwiać się z każdym dniem i każdą chwilą. Często zapominamy jednak o tym, że inni prowadzą bardziej aktywny i stresujący tryb życia - i właśnie my jesteśmy ofiarami, a inni korzystają z tego, co jest im dane

i nie muszą się niczym przejmować. To my błądzimy we mgle, a inni wiedzą, co gdzie i jak trzeba robić. No cóż, niekoniecznie.

Każdy człowiek gubi się i odnajduje na swój własny sposób - przynajmniej w tych okolicznościach, w jakich stawia go życie. Bywa też tak, że zagubienie nie prowadzi do odnalezienia się, co pojawia się w skrajnych przypadkach, ale jest możliwe. Jeszcze lepiej utwierdził mnie w tym przekonaniu film, na który wybrałam się pod koniec października - "Joker". Film poddaje w wątpliwość wiele kwestii, nad którymi zastanawia się każdy z nas - mniej lub bardziej świadomie. Pokazuje, co tak naprawdę definiuje człowieka i wpływa na jego zachowania, czyny oraz percepcję świata. Jak wiele zależy od tego, jak zostanie potraktowana dana jednostka w danym momencie życia. Przecież tak prosto jest ocenić ludzi powierzchownie, prawda? Gdy siedzi ze spuszczoną głową, to pewnie coś go martwi. Gdy szeroko się uśmiecha, to pewnie jest zadowolony z życia. To chyba oczywiste, że każdy zachowuje się tak, jak naprawdę się czuje i w pełni szczerze oddaje swoje emocje - niestety nie. I najbardziej bolesne jest to, że większość ludzi nadal żyje w takim przekonaniu - bo tak jest prościej, bo przecież każdy z nas ma swoje życie, bo nie ma sensu przejmować się innymi, bo my mamy najgorzej itd.

Ludzie w tych czasach coraz częściej przechodzą w tryb spoczynku

emocjonalnego i nie widzą w tym żadnego problemu. Ba, nie widzą nawet, że zamieniają się w pozbawione wrażliwości maszyny. Boli mnie to coraz częściej i dostrzegam to u coraz większej ilości jednostek. Dlatego tak bardzo cieszy mnie powstanie wyżej wymienionej produkcji, która czarno na białym pokazuje, w jakim kierunku może pójść ten zepsuty świat. Nie chcę wrzucać wszystkich do jednego worka, ponieważ istnieją też dusze, które są nadzieją na dobrą przyszłość. Chcę tylko zwrócić uwagę na istotne kwestie, ponieważ to właśnie one wpływają na każdego z nas z osobna i pomagają nam się w pewien sposób odnajdywać, gdy jesteśmy zagubieni. W tym dziwnym XXI w. o wiele prościej jest zniknąć w otchłani własnych zmartwień i problemów niż wyciągnąć do innych pomocną dłoń. Dlatego warto myśleć, czuć i działać, zamiast siedzieć z założonymi rękami i czekać na uśmiech Losu. Pamiętajcie, że każdy z nas jest istotą „wyposażoną” w uczucia - i warto z nich korzystać, póki są w stanie o sobie przypominać.

TEKST: PATRYCJA DRABIK